

TOMASZ BARTOSIEWICZ

SPRZĄTACZ



OPOWIADANIE ZE ZBIORU

Siódma Stacja

TOMASZ BARTOSIEWICZ

SPRZĄTACZ

O P O W I A D A N I E Z E Z B I O R U

SIÓDMA STACJA

Biegłem.

Przynajmniej pamiętam, że biegłem.

Nie, to zdecydowanie złe słowo.

Nie oddaje ono wszystkiego.

Pędziłem przed siebie na złamanie karku. Przekładałem na przemian odrętwiałe ze zmęczenia nogi, starając się nie runąć na twarz. Rękami wywijałem w powietrzu kręgi, jakbym próbował się czegoś chwycić. W jednej z nich trzymałem torbę z całym swoim skromnym dobytkiem. W drugiej, zaś książkę w miękkiej oprawie. Te dwa przedmioty prześlizgiwały się przed moimi oczami. Już nawet nie widziałem drogi, chodnika, ani mijanych, zagaszonych sklepów. Tylko na zmianę ręka z torbą...

Ręka z książką...

Ręka z torbą...

Pomyślałem przez chwilę, że jakby ktoś stał z boku i przekręcił lekko głowę, to wyglądałbym dla niego jak facet, który właśnie wypadł z okna, pakując książkę do torby. Przysięgam, że ta myśl mało nie kosztowała mnie życia. Zamiast oddychać, zacząłem rechotać, dławiąc się własną śliną. Musiałem na chwilę zwolnić, by gromadzące się przed moimi oczami mroczki nie zamieniły się w pełnoprawne omdlenie.

- Spóźnię się... - sapnąłem sam do siebie. To był raczej artykułowany wydech, który poniósł ze sobą moje myśli, niż pełnoprawne słowo. Zawsze się spóźniałem. Do pracy, do szkoły, na własny ślub...

- Spóźnię się i tym razem. Tylko, że to spóźnienie przyplacę życiem... Jezu... oby tylko życiem.

Od wiatru oczy zaszyły mi łzami i nie widziałem już nic poza rozmażanym światłem wymarłego miasta. Moje podeszwy głucho uderzały o betonowy chodnik, wzniciając przy tym nieprzyjemne echo wśród opustoszałych murów miasta.

Złapałem się na tym, że się modłę.

Nie robiłem tego od wieków.

Nie było to coś wzniosłego. Nawet żadna z *oficjalnych formulek*. Zwykle, samolubne biadolenie połączone z przeplatającym się *dobry Boże, błagam cię spraw... i Jezusie Najświętszy, jeśli mi pomożesz to...* Potem dopiero przyszło mi na myśl, że jeśli miałbym o coś prosić Boga, to chyba wybrałem sobie zły moment na nawrócenie. Czułem się, jakbym wpadł do członka rodziny z którym pokłóciłem się wieki temu i od progu spytał czy ma pożyczyć ze trzy stowy.

Tfu...

Splunąłem w rozrastający się po mojej prawej stronie trawnik, starając się nie opluć sobie ramienia ani nie trafić w literaturę. Nad moją przeziębioną głową rozpościerała się noc. Ostatnie promienie słońca właśnie zgasły, pozostawiając ulice bezpłciowemu światłu rzadko palących się lamp. Z obu stron mijałem zaciemnione kamienice i puste blokowiska. Ogołocone sklepy wyglądały na ulice wybitymi szybami i wyważonymi drzwiami.

Ktoś włamał się nawet do salonu fryzjerskiego.

Na Boga, sklep zrozumiałem, ale fryzjer?

Do moich uszu dotarł jazgotliwy dźwięk alarmowego dzwonu.

- Jezu... naprawdę się spóźnię... - wycharczałem, starając się przyśpieszyć kroku. Łydki paliły mnie już żywym ogniem. Reszty nóg prawie nie czułem. Odrętwiałymi stopami

zaczepiałem krawężniki, puste puszki po piwie i rozbite szło butelek, modląc się, by nie paść na twarz.

Moje oczy musiały się rozjarzyć jak dwa ogniki, gdy zobaczyłem bryłę miejskiego dworca PKP. Jaskrawo oświetlony budynek wyglądał ponad drzewami starą wieżę zegarową. Postawione przed jego frontem szperacze ozłacały swoim blaskiem wytartą tarczę zegara. Do frontu budynku prowadziła ułożona z niewielkich lampek ścieżka, niczym pas startowy dla pieszych.

Pochyliłem się, starając się przyspieszyć. Kręciło mi się w głowie i czułem, że zaraz zwymiotuję.

- Ostatnia prosta... dasz radę... jak na WFie... kurw... mogłem częściej chodzić na WF – mamrotałem do siebie w myślach. Nie pomagało mi to w bieganiu, ale przynajmniej skupiałem się na czymś innym niż ból mięśni.

- Stać! Ręce do góry! – usłyszałem głośny, choć zniekształcony wrzask. Moje stopy właśnie stanęły na wyznaczonej przez światelka ścieżce. Posłusznie zatrzymałem się i uniosłem dłonie. Nogi same się pode mną ugięły i runąłem na kolana.

- Błagam, powiedz, że jeszcze nie pojechali! – wycharczałem przez zadyszkę i bolące gardło. Wzrok wbilem w chodnik. Obraz przed moimi oczami szarzał i kurczył się, jaśniejac na chwilę z każdym łapczywym, ostrym wdechem. Wiedziałem, że jeśli spojrzę do góry, to odpłynę.

Zemdleję, a oni mnie zostawią.

Jeśli jeszcze tego nie zrobili.

Zostawią, a wtedy...

Usłyszałem jak ktoś w pośpiechu się do mnie zbliża. Para ciężkich, wojskowych butów przetoczyła się po prowadzących

do budynku dworca stopniach. Po kilku sekundach kroki ustały, zakończone przez znany mi, metaliczny dźwięk odbezpieczanej broni.

- Błagam... powiedz, że nie odjechali... - wydusiłem już nieco wyraźniej. Odważyłem się nawet podnieść głowę. Zobaczyłem niewysokiego człowieka w kurtce moro, z doszytą do niej białą-czerwoną flagą. Na twarz miał naciągniętą starą, gumową maskę przeciwgazową. Jego potargane, czarne włosy bujały się przy każdym ruchu. Na nogach miał zwykłe, niebieskie dżinsy i najwyraźniej trząsł się z zimna... może ze strachu.

- Imię, nazwisko i dowód tożsamości. Tylko głośno, wyraźnie i bez zbędnych gestów – powiedział, unosząc wyżej trzymany w rękach pistolet. Z trudem przełknąłem ślinę... nie pomogło. Poczułem jak sucha gula przerażenia i rozpacz narasta mi w gardle.

Dokumenty.

Nie wziąłem dokumentów...

- Nie... mam... - szepnąłem, czując jak po przemarzniętych policzkach spływają mi łzy.

- Głośniej! – powiedział tym samym, ostrym tonem. Sine dłonie zacisnął mocniej na rękojeści pistoletu.

- Nazywam się Łukasz Wysocki. Nie mam dokumentów. Zapomniałem... - załkałem. Nie wiem, czy to ze zmęczenia, czy bezsilności, ale ręce same mi opadły. Zobaczyłem jeszcze jak na ten gest mój rozmówca cofa się lekko, szykując się do strzału.

Przez chwilę na to liczyłem.

Byłem przekonany, że pociągnie za spust i odstrzeli mnie na miejscu jak psa. Zamiast tego opuścił broń. Widocznie ta

sytuacja była dla niego tak samo niezręczna jak i dla mnie. Usłyszałem nagle drugi zestaw kroków, zmierzających z budynku dworca w moją stronę.

- Znam go, jest stąd – odezwał się inny, równie zdeformowany głos. Złapałem wdech, wraz z którym wyrwało mi się ciche chlipnięcie. Zobaczyłem drugiego mężczyznę, nieco wyższego. Ten miał na sobie zwykły sweter i cienką kurtkę, do której również była doszyta biało-czerwona flaga. Mężczyzna poklepał lekko po ramieniu tego, który chwilę temu do mnie mierzył, po czym przyklęknął przede mną, uchylając maskę.

- Krzysiek? – rzuciłem, rozpoznając znajomą, zmęczoną twarz. Może była nieco bardziej brudna i zarośnięta, niż ta, którą zapamiętałem z dawnych lat.

- Ale ten świat mały, co? – spytał, po czym powiedział coś, co sprawiło, że mało nie zemdlałem. – Chodź, jeszcze nie odjechalіśmy. Zawsze czekamy parę minut na spóźnialskich – dokończył, pomagając mi wstać.

- Poświadczysz jego tożsamość przed dowódcą? – spytał ten drugi, chowając broń do prowizorycznej kabury.

- Jasne, odprowadzę go i zaraz wszystko zamelduję – powiedział Krzysiek, ponownie zasłaniając się maską. Mężczyzna pokiwał lekko głową, odprowadzając nas przez chwilę wzrokiem.

- Wybacz tę małą szopkę – powiedział nagle, rozkładając ręce. - Podczas ewakuacji kręca się różni wariaci... wolimy dmuchać na zimne.

- Nic się nie stało – odparłem. W tym momencie nie liczyło się już dla mnie, że nie mam dokumentów, prawie nic

nie widzę na oczy, a człowiek, którego ledwie znałem musi mnie trzymać, żebym nie upadł.

Nie spóźniłem się.

Poczekali.

Tylko to się liczyło.

Jakiż byłem szczęśliwy.

Po kilku chwilach moją twarz owiało ciepłe, zatęchłe powietrze. Wnętrze budynku było brudne i zaniedbane. Każdą plamę, dziurę i ubytek w linoleum uwydatniało wylewające się zewsząd światło. Sączyło się z rozstawionych reflektorów, podwieszonych pod sufitem lamp i praktycznie wszystkiego co świeci, a co dało się zrabować i zawlec aż tutaj. Zmrużyłem oczy, idąc na oślep tam, gdzie zaprowadził mnie Krzysiek.

- Usiądź, odpocznij – powiedział, pchając mnie w stronę jednej ze stojących pod oknami, drewnianych ławek. – Zamelduję dowódcy, że jesteś i spróbuję podrzucić ci coś ciepłego – powiedział, po czym oddalił się pospiesznie. Po dłuższym czasie moje obolałe oczy przyzwyczyły się do panującej tutaj jasności.

Poza mną było tu jeszcze nieco ponad dwadzieścia osób. W większości samotnicy, siedzący cicho w kątach, patrzący sobie na buty, bądź nerwowo układający coś w swoich plecakach. Były też może dwie, czy trzy małe grupki ludzi, którzy najwyraźniej się znali. Kilka młodych osób, w towarzystwie jednego, starszego człowieka, rozmawiało półgłosem, śmiejąc się przy tym serdecznie. Jakaś para siedziała pod ścianą, on oparty o zimny beton, ona wsparta głową o jego kolana. Wyglądali tak, jakby nie spali od tygodni...

- Dobry Boże... - mruknąłem, przewalając książkę w dłoni. Torbę położyłem sobie między kolanami. – Dwadzieścia osób... Z całego miasta zostało nieco ponad dwadzieścia osób... - rzuciłem w podłogę. Moja dolna warga zatrzęsała się lekko.

- Pańska? – usłyszałem zachrypnięty, kobiecy głos. Odwróciłem się, by spostrzec, że siedzę obok młodej, uśmiechniętej kobiety. Na jej twarzy odbijało się niehumaniczne zmęczenie, zaś na jej kolanach spało dziecko. Z pewnością jej syn. Maluch miał najwyżej trzy lata i co chwilę wiercił się i mruczał, śniąc niespokojne sny. Zmarszczyłem się, nie wiedząc o co dokładnie może jej chodzić. Widząc mój niepewny wzrok, kobieta wskazała brodą na książkę.

- Tak... znaczy nie... eee... - zacząłem. Tak, zawsze tak *świećnie* dogadywałem się z ludźmi. Szczególnie, że od dłuższego czasu moim jedynym towarzyszem rozmów był zdychający na parapecie aloes. Odetchnąłem głębiej i wypuściłem powietrze przez wydęte wargi. Podrzuciłem książkę w dłoni.

- Znalazłem ją... - wykrztusiłem w końcu, pochylając się lekko i opierając łokcie na kolanach. Pokręciłem głową. Ukradkiem upewniłem się, że jej syn na pewno śpi. – Nie... Nie do końca... Wyrwałem ją z zimnych palców jakiegoś nieszczęśnika leżącego na chodniku ... albo nieszczęśniczki... nie wiem. Kruki zdążyły już zająć się twarzą.

- Czy to robota... - zaczęła kobieta, szybko gryząc się w język. Nie chciała wypowiedzieć słowa, którego ostatnio wszyscy unikali jak złego omenu.

- Nie... - odparłem. – Raczej bandyci. Na kurtce były dziury po kulach. Ten ktoś wyglądał tak, jakby przed kimś

uciekał. W rękach ścisnął... ścisnęła... tylko to. Zobaczyłem jak tak leży z książką przyciśniętą do piersi i... pomyślałem, że może jest ważna. Może dla tego kogoś coś znaczyła. Wzięłem ją, żeby się nie zmarnowała.... Ech mało się przez to nie spóźniłem – wyrzuciłem w końcu z siebie. Poczułem nawet jakby mi trochę ulżyło. Kobieta uśmiechnęła się do mnie i wyciągnęła rękę w moją stronę.

- Mogę zobaczyć? – spytała. Przytaknąłem, bez słowa podając jej lekturę. Obejrzała ją z obu stron, przerzuciła pobieżnie poźółkłe strony i uśmiechnęła się lekko.

- *Siódma Stacja* – przeczytała, unosząc lekko brew. Na dźwięk tego tytułu poczułem dziwne, nieprzyjemne mrowienie. Jakby ktoś na głos przeczytał mój nekrolog.

- Nie ma ceny, ale jest dedykacja – powiedziała po chwili, oddając mi egzemplarz. – Czy wie pan, co to może oznaczać? – dodała. Eloquentnie pokręciłem głową.

- To pewnie książka jakiegoś mało znanego autora – rzuciła. – Kto wie, może uratował pan ostatnią sztukę blakającą się po tym zwariowanym świecie – westchnęła, uśmiechając się lekko. *Zwariowany świat*, taki eufemizm mógł paść tylko z ust kobiety, która od lat okłamuje syna, co wieczór powtarzając mu, że *wszystko będzie dobrze*.

- Żaden pan, Łukasz jestem – wypaliłem nagle, odruchowo wyciągając do niej rękę.

- Edyta, miło mi – odpowiedziała, chwytając mnie lekko za palce w dość niezręcznej karykaturze powitania. Zaległy między nami sekundy gęstej ciszy, w której na moje usta cisnęło się jedno, bardzo istotne pytanie.

- Wiesz może o co tu chodzi? – spytałem w końcu. Edyta obrzuciła mnie lekko zdziwionym spojrzeniem, po czym

spojrzała na otaczających nas ludzi. Na jej twarzy pojawił się wyraz dziwnego smutku.

- Zależy o co pytasz? O to zbiegowisko, czy o... - jej głos zadrżał. Zamiast skończyć zdanie, odchrząknęła cicho, zaglądając na śpiącego syna.

- O tych ludzi... o nas... wiesz coś więcej? - zapytałem, rozglądając się niezobowiązująco. Za przeszklonymi drzwiami, oznaczonymi tabliczką *przejście służbowe*, doszło do jakiegoś poruszenia.

- Wiem chyba tyle co ty – odparła. Jej wzrok z minuty na minutę stawał się coraz bardziej pusty. Jakby rozmowa ze mną wyczerpywała resztkę jej sił. – Rano pod oknami mojego domu przejechał samochód. Głos z megafonu mówił, by stawić się na dworcu, bo będą nas przenosić. Podobno to miasto ma zostać... - przerwała na chwilę. Rozejrzała się konspiracyjnie, po czym kontynuowała zniżonym głosem. – Ma zostać *wygaszone*...

Wygaszone to słowo zagrzmiało w moim umyśle. Poczułem obrzydliwy dreszcz przebiegający mi po plecach. Nagle oczy wszystkich skierowały się w stronę *przejścia służbowego*. Przeszklone drzwi otworzyły się, wpuszczając do pomieszczenia dwóch żołnierzy w maskach. Zaraz za nimi pojawił się krępy, brodaty mężczyzna. Nosił pełne, wojskowe umundurowanie, które leżało na nim jak szyte na miarę. Na piersi dumnie nosił biało-czerwoną naszywkę z napisem *Armia Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej*. Wyglądał jak ktoś, kto dowodzi tym cyrkiem. Mężczyzna wyprężył się niczym struna, przymrużonym okiem obrzucając zgromadzonych ludzi. Pokręcił lekko głową, mechanicznie przeczesując gęstą, czarną brodę.

- Jezu... tylko tylu – mruknął pod nosem, po czym poprawił pasek od spodni i odchrząknął lekko. – Dobry wieczór państwu – powiedział donośnym, głębokim głosem. Pojedynczy, śpiący ludzie podnieśli głowy, by zobaczyć, kto śmiał wyrwać ich z pierwszej od wielu dni drzemki.

- Nazywam się Robert Pietroch i będę nadzorować państwa ewakuację. Będziemy wyczytywać państwa po imieniu i nazwisku. Proszę następnie udać się za żołnierzami do pociągu, na wyznaczone miejsce. Proszę się też nie obawiać, nie będziemy rozdzielać rodzin, ani osób, które przybyły tutaj w grupach. Czy są jakieś pytania? – zakończył, składając ręce regulaminowo za plecami.

- Gdzie nas wieziecie? – zapytał jeden ze stojących w grupie chłopaków. Wyglądał niepozornie i cherlawo. Świat obserwował zza pary pękniętych okularów.

- W bezpieczne miejsce – wykaszał *dowódca*. – Jest tam prąd, woda, ciepło i setki osób z innych miast...- dodał. *Z innych miast...* więc te wymarłe karykatury osad nadal nazywa się miastami?

- Dlaczego nie możemy po prostu zostać tutaj? – rzuciła dziewczyna, która do tej pory przysypiała na kolanach swojego chłopaka. Wyraz twarzy *dowódcy* lekko się zmienił. Jego rysy się wyostrzyły i nabrały zaciętości.

- Możecie – rzucił sucho. – Ale wasza elektrownia długo nie pociągnie. Nie oczekujcie, że po was wrócimy, gdy w końcu padnie – mruknął. Zdało się, że to ostatnie zdanie zamknęło wszystkim na chwilę usta. Zaraz po tym ponownie zwrócili się do swoich grup, szemrząc coś między sobą, na przemian w strachu wskazując żarówki, latarki...

- Myślisz, że mówi prawdę? – spytała Edyta. W tym czasie jeden z żołnierzy *dowódcy* wyciągnął cienki zeszyt i zaczął po kolei czytać nazwiska.

- Co? – rzuciłem nieprzytomnie.

- Myślisz, że to prawda? Że istnieje gdzieś miejsce, gdzie będziemy mogli się schować? Gdzie będziemy mogli żyć nie bojąc się o... - zamilkła na chwilę, spoglądając na swojego syna. Pewne słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

- Nie wiem... chyba tak – odpowiedział. Głos chyba trochę mi drżał.

- Wysocki! – krzyknął żołnierz, rozglądając się lekko. Na dźwięk własnego nazwiska aż podskoczyłem. Podniosłem się z miejsca i na chwiejących się nogach podszedłem do czytającego listę.

- Ma pan jakieś materiały niebezpieczne? – spytał mnie, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Nie... tylko książkę i parę osobistych rzeczy – odpowiedział.

- Na wszelki wypadek informuję pana, że wszelką broń palną i materiały wybuchowe powinien pan złożyć u dowódcy. Zostaną one panu zwrócone po przybyciu na stację końcową. Noże, pałki i inną broń białą może pan zachować. Proszę tylko pamiętać, że najmniejsze zakłócenie spokoju może skutkować więzieniem, bądź natychmiastowym wyrzuceniem z pociągu – dodał, mierząc mnie przez chwilę wzrokiem. Przytaknąłem mu ochoczo, nie wiedząc co powinienem powiedzieć.

- Proszę wyjść na peron, miejsce trzydzieste drugie, wagon trzeci – mruknął żołnierz, wskazując wyjście.

Na zewnątrz czekał na mnie kolejny *pas startowy* ułożony z położonych na ziemi rowerowych lampek. Na jego końcu

znajdował się pociąg. Ciężka, stalowa maszyna jarzyła się światłem dziesiątek reflektorów, lamp i drobnych lampek. Wszystkie okna były oplecione dookoła ostro świecącą taśmą LED. Na czole pociągu przytwierdzone były dwa, potężne szperacze, wspierające swoją jasnością raczej skromne reflektory przednie. Na dachu, co kilka metrów ustawiona była pojedyncza żarówka w metalowej osłonie. Nawet spód pociągu był jaskrawo oświetlony, dając wrażenie, że lokomotywa unosi się lekko nad torowiskiem. Maszyna sapała i buczała pieśnią dziesiątek obciążonych transformatorów.

Przy rażąco oświetlonym wejściu stało dwóch, uzbrojonych żołnierzy. Na twarzach mieli maski przeciwgazowe, na plecach ciężkie plecaki, z których wystawały dziesiątki kabli. Do ramion mieli przyczepione spore, silne reflektory, którymi aktualnie oświetlali sobie stopy. Kiedy podszedłem, jeden z nich odstepił nieco na bok i wskazał mi wejście.

Po chwili usłyszałem obok siebie kroki. Nierówne, klapiące uderzenia zdartych tenisówek, dobiegające gdzieś z serca nocy. Dwaj żołnierze natychmiast zareagowali. Unieśli broń i szarpnęli za liny przy plecakach, przestawiając reflektory tak, by świeciły przed nich. Snopy światła padły na twarz biegnącego przez ciemność staruszka. Elegancko ubrany, zasuszony jegomość z postępującą siwizną i doganiającą ją łysiną. Przebierał kulawymi nogami, śmiejąc się szeroko i wymachując trzymaną w ręku teczką. *Wariat* – pomyślałem. – *To cud, że nie... zginął* – dokończyłem w myślach, przez dłuższą chwilę szukając jakiegoś odpowiedniego słowa.

Wsiadłem do pociągu.

W środku było jasno jak... nie wiem. Trudno mi znaleźć porównania, gdyż od dawna nie widziałem takiego blasku. Byli tam też ludzie. Dziesiątki ludzi. Starsi, młodszy, zmęczeni i pełni nadziei. Niektórzy rozmawiali, inni spali, schowani we własnych ramionach. Po korytarzach przechadzali się żołnierze, od czasu do czasu zaglądając do przedziałów, czy pomagając starszym osobom uporać się z bagażem. Usiadłem na swoim miejscu. Obok mnie siedziała starsza pani, której nie widziałem wcześniej na oczy. Naprzeciw wkrótce usiadła para, którą spotkałem dziś na dworcu. Nikt się nie witał, nikt nawet na siebie nie patrzył.

- Siódma stacja... - westchnąłem, przewracając od niechcenia karty książki. Po chwili pociąg ciężko ruszył z miejsca. *Cóż – przeszło mi przez głowę. – skoro już ją mam, to równie dobrze mogę ją przeczytać...*

Otworzyłem pierwsze z opowiadań.

W każdym większym mieście jest jeden...

Sprzątac

W każdym, większym mieście jest jeden. Przynajmniej tak słyszałem. Nie, nie miałem okazji z żadnym porozmawiać, nie pytałem też w informacji turystycznej czy jakiegoś widzieli. Cholera jasna nawet nie wiem o czym miałbym z takim człowiekiem rozmawiać. Nie wiem, czy chciałbym z nim zamienić choćby jedno pieprzone słowo. Myślę, że chodzi tu głównie o granice. Nie rozsądku, czy dobrego smaku. Chodzi o limit okropieństw i całego tego gówna, które świat nam codziennie serwuje na ciepło. Doświadczanie takich rzeczy, czy choćby słuchanie o nich, jest jak podcinanie gałęzi, na której siedzi twoja zszargana psychika. Jeśli będziesz za bardzo ambitny w tym podcinaniu to w końcu usłyszysz *trach* i w najlepszym wypadku będziesz się szarpać z niedopasowanym swetrem w pokoju bez klamek, nie robiąc krzywdy nikomu poza sobą samym.

Spędzałem właśnie popołudnie w najbardziej produktywny sposób jaki przyszedł mi tego dnia do głowy. Popijając piwo i gapiąc się w pięćdziesiąt cali kolorowej rozrywki, wiszącej na ścianie mojego *salonu*. Żałowałem, że w ogóle kupiłem ten cud techniki. Po pierwsze moje mieszkanie składało się praktycznie z tego *salonu*. Był to niewielki pokój z fotelem i rozkładaną kanapą. Oczywiście była jeszcze klaustrofobiczna łazienka i wnęka w ścianie, którą pieszczotliwie nazywałem *kuchnią*. Tak więc, żeby oglądać w spokoju telewizję, nie opalając się przy tym na złoto,

musiałbym oddać telewizor sąsiadom z naprzeciwka i poprosić ich by powiesili go tak, żebym mógł sobie przez okno popatrzeć. Sąsiedzi na pewno by się nie obrazili, ale mi jakoś nie odpowiadała wizja wrzeszczenia przez całe blokowisko *przełącz na dwójkę*.

Drugi problem z tymi nowymi telewizorami miał piękny, dwuliterowy skrót *HD*... Nigdy nie przypuszczałem, że moja ulubiona prezenterka pogody ma tyle zmarszczek na dekolcie. Możliwe też, że po prostu pomiędzy wyrzuceniem starego telewizora, a powieszeniem nowego, czas posunął ją zbyt zamaszyście. Mało prawdopodobne, choć możliwe.

Stolik pod moimi nogami zatrzzął się jakby miał zaraz odpalić silniki i wystartować na orbitę. W pierwszej chwili pomyślałem, aby uciekać do piwnicy i przeczekać te trzęsienie ziemi, żywiąc się ogórkami ze słoików. Zanim się jednak ruszyłem, w twarz strzeliła mnie myśl, że owe wibracje są zbyt regularne. Nawet jeśli byłyby zwiastunem rychłego kataklizmu, to raczej żadna naturalna katastrofa nie obwieszcza swego nadejścia wesołą melodyjką. Odebrałem więc leżącą obok moich nóg komórkę, która zapewne pamiętała jeszcze czasy polowań na mamuty. Ekran w kolorze uspokajającej zieleni pokazywał nieco mniej uspokajający numer. Skrzywiłem się lekko, wymyślając jak najbardziej poetyckie sposoby odwołania tego, co nieuniknione. *Czy nie zostawiłem żelazka na gazie? Pewnie powinienem odebrać dzieci z przedszkola. Nie mam w prawdzie dzieci, ale jakieś znajdę. Przedszkola są ich pełne. A może to tylko pomyłka?* Mój adversarz jednak nie dawał za wygraną i tuż po pierwszej serii sygnałów, uraczył mnie kolejną kaskadą elektronicznych dźwięków. Przyłożyłem rakotwórczą cegłę do ucha.

- Mobilna stacja krematorium *Iskierka*, proszę podać numer pieca lub wybrać numer wewnętrzny – zaintonowałem wesoło. Mój rozmówca najwyraźniej uznał ten tekst za tak samo zabawny co postrzał w śledzionę.

- Jest sprawa – powiedział silny, zmęczony, męski głos. Zawsze tak zaczynał. Nigdy *dzień dobry*, czy w *dupę pocałuj*. Zawsze tylko *jest sprawa* i zawsze znaczyło to *gównu wielkości stanu Kansas wpadło nam w sokowirówkę, a jakiś (tu wpisz swoje nazwisko) musi je zmyć swoją szczoteczką do zębów*. Nigdy nie zaczynał też od dowcipu, smutas jeden. Nawet pomimo moich usilnych prób zarażenia go swoim poczuciem humoru.

- Konkrety? – odparłem, wytaczając kontratak równie suchym tonem co on. Na dziś miałem już dość dawania lekcji wesołego usposobienia. Chociaż... może to on właśnie udzielał mi korepetycji z bycia smutnym wackiem? Zapewne to właśnie robił w wolnych chwilach. Uczył wszystkich staruszków i urzędników jak być marudnymi dziadami. Oczywiście gdy tylko miał wolne od bycia komendantem policji.

- Dowiesz się wszystkiego jak tu przyjedziesz. Zaraz wyślę ci adres – odpowiedział. Jego głos był dziś bardziej bezbarwny niż zwykle. Jakby coś go sztucznie poszarzało. Równie dobrze mógłbym rozmawiać z automatyczną sekretarką lub gościem, który właśnie przystawił sobie spluwę do skroni i postanowił wykonać kilka ostatnich telefonów-żarcików, zanim ochlapie słuchawkę swoim skalpem.

- Nie mów mi, że jesteś jeszcze na miejscu – podniosłem się na kanapie. Choć nie darzyliśmy się z komendantem zbytnią sympatią, to poczułem, że ręce zaczynają mi lekko drżeć. Po

części dlatego, że nie lubiłem jak ktoś mi się wpięprza w robotę.

- Ja, dwóch techników i kilku funkcjonariuszy. Czekamy na ciebie – wychrypiał mi do słuchawki, po czym rozłączył się. Zdenerwowany, lub po prostu wytrącony z równowagi, rzuciłem telefonem o ziemię. Dopiero po chwili doszło do mnie, że mógłbym nieopatrznie wybić dziurę w parkiecie tym wiekowym cholerstwem. Czemu jeszcze tam byli? Przecież zwykle dawali mi znać na długo po tym jak już zdążyli wszystko załatwić, pomierzyć, pobadać i zagryźć pudełkiem pączków.

No, może nie komendant.

On wołał kremówki.

Wyłączyłem telewizor, rzucając ostatnie, czułe spojrzenie na pomarszczony dekolt presterki i ruszyłem w stronę szafy. Staroświecki, sypiący się mebel zrobiony był w starym, dobrym stylu *jest tak brzydkie, że nikt tego nie chce*. Pozostał tu jeszcze po poprzednim lokatorze. Gość musiał być niezwykle nudnym facetem, bo pozostawił po sobie tylko dwa wieszaki. Rozumiesz, żadnego rachunku za prezerwatywy, kapsla od piwa, czy choćby drobnych, a sprawdziłem każdy kąt tego mebla. Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem. Wydaje mi się, że to taki mały pociąg do powieści detektywistycznych i afer szpiegowskich. Tym bardziej, że mój poprzednik podobno wyprowadził się w pośpiechu, więc liczyłem na ... sam nie wiem na co. Może teczkę z tajnymi dokumentami, spluwą i tajemniczym adresem? Może na wyrwane, przypalone karty z Necronomiconu?

Kiedyś czułem, że do szczęścia brakuje mi takich lekkich dreszczyków.

Lekkich...

kurwa...

Teraz na dwóch, smutnych jak dupa w jesiennym deszczu, wieszakach wisiała jedna z dwóch moich służbowych koszul i samotny, wyświechtany krawat, zwiotczały jak groźba emerytowanego erotomana. Wciągnąłem więc koszulę na plecy, zarzuciłem krawat na szyję i sięgnąłem na dno szafy, gdzie w spokoju i cierpliwie czekał mój służbowy neseser. No dobrze, tak naprawdę była to stara waliza z materiału, który nawet nie próbował imitować skóry. Zamykana była na dwa metalowe zatrzaski, które przy każdym otwarciu raczyły właściciela melodyjnym zawodzeniem starych zawiasów.

Otworzyłem ją, żeby przejrzeć zawartość.

Zawsze to robiłem.

Wychodziłem z założenia, że gdy już dotrę na miejsce *pracy*, to nie powinienem go opuszczać, dopóki nie skończę. Wyprawa do marketu w połowie roboty nie wchodziła więc w rachubę. Gąbka, dyktafon, szczotka, detergenty, szmata, parę żrących środków. W pełni swej pogardy i prostoty definiowało to moją posadę.

Jestem sprzątaczem.

Jeśli wyobrażasz sobie teraz, że całymi dniami śmigam mopem po anonimowych parkietach i szoruję wymiociny po imprezach...

To masz rację.

Przynajmniej częściowo.

Nie sprzątam po byle jakich *imprezach*.

Wszedłem do kuchni. Choć tak naprawdę akt *wchodzenia* do niej polegał zwykle na cofnięciu się pół kroku z korytarza do wnętrza wnęki opatrzonej w kuchenkę, szafkę i zlew z ciepłą wodą. Nie przyszedłem tu po to, żeby zrobić sobie kanapki do pracy. Nigdy nie robiłem sobie kanapek do pracy i niedługo wyjaśnię ci dlaczego. Zamiast tego, sięgnąłem na tył szafki, gdzie cierpliwie, jak za każdym razem, czekały na mnie moje dwie, nierozłączne kompanki. Pełna piersiówka i paczka papierosów. Normalnie nie palę i wiem, nie wolno pić w pracy i... wiesz co? Mam to w dupie. Jak się ma robotę taką jak moja, to trzeba mieć nałogi. Cholera, gdyby do tej roboty trzeba było składać CV, to oddzwaniałoby tylko do tych, którzy piją, palą albo wciągają koks. Po prostu czasem lepiej jest zająć myśli tym, że chcesz w końcu zapalić zamiast tym, co właśnie robisz i co ląduje do wiadra z wodą.

Następny przystanek, łazienka. Trochę czasu upłynęło zanim się przemogłem i spojrzałem w lustro. Byłem blady. Może to trochę za delikatnie powiedziane. Moja skóra była niemal przezroczysta. Bez trudu policzyłbym wszystkie żyły na policzkach. Miałem wrażenie, że jeszcze trochę, a mógłbym obejrzeć swoje zęby bez otwierania ust.

Czy to było coś nienormalnego?

A skąd!

Jeśli mam być z tobą szczery, to wyglądałem wręcz kwitnąco, a na pewno lepiej niż przy ostatnim wezwaniu. Masz wątpliwości, prawda? Myślisz sobie, co jest takiego przerażającego w szorowaniu czyjegoś kibla czy zmywaniu

podłogi? Oczywiście nie jest to najprzyjemniejsza rzecz na świecie, ale nie jest tak strasznie...

Cóż, masz całkowitą rację. Tylko pomyśl teraz. Do której podrzędnej sprzątaczkii wydzwania bliski omdlenia komendant?

Pozwól więc, że coś ci wyjaśnię.

Zastanawiałeś się kiedyś co się dzieje z miejscami, w których ktoś zginął? Nie chodzi mi o cichą śmierć w łóżku szpitalnym. Mówię o tragedii jakkolwiek i jak najszerzej rozumianej. Wypadek, morderstwo, samobójstwo... Czy wiesz co się dzieje, gdy już policjanci zbiorą ciała, wszystko udokumentują, porobią eleganckie fotki w półmacie i zapiszą wszystko tłustymi paluchami w tłustych notesach? Co się dzieje z tymi częściami ludzi, których nie udało się popakować w plastikowe worki? Z krwią, wnętrznościami i całą resztą tego, co kiedyś było częścią czyjejś córki lub męża?

Właśnie...

Ktoś musi je sprzątnąć.

Ktoś taki jak ja i wielu innych.

Ktoś, kto sprawi, że szary Kowalski, śpiesząc się do pracy, nie będzie musiał się potykać o czyjś mózg rozsmarowany po parkowej alejce, a pośrednik nieruchomości nie będzie musiał kłamać, że *ta plama na ścianie jest po winie*. Myślisz, że moja praca stała się nagle ciekawsza? Cóż, poczekaj aż dotrzemy do *najlepszego*.

Rzecz jasna nie jest to robota na pełen etat. Trudno jest raczej liczyć na to, że średnio co godzinę, przez osiem godzin dziennie, ktoś będzie umierał w na tyle potworny sposób, by nie poradziła sobie z tym przeciętna pani Pelagia spod warzywniaka. Jednak gdy już do czegoś takiego dojdzie, są osoby, które dbają o to, bym w tym momencie nie musiał być

niczmy zajęty. Wygodne i dobrze opłacalne. Przynajmniej do momentu, aż nie dostaniesz wezwania. Teraz już wiesz, czemu nie noszę kanapek do pracy. Żołądek jest zbyt przejęty widokami, żeby go drażnić jeszcze czymś tak wulgarnym jak jedzenie.

Spędziłem w łazience trochę cennego czasu, prowadząc z melancholią czynności tak prozaiczne jak mycie rąk, czy poprawianie krawata. Moja przesadna higieniczność nie była wymogiem jakiegoś pokręconego kodeksu. Wynikała raczej z faktu, że wolałbym zostać wielokrotnie zgwałcony nieogolonym kaktusem, niż choćby zbliżyć się do budynku, którego adres dostałem przed chwilą. Po raz dziewiętnasty poprawiałem mankiet koszuli, gdy przez pomieszczenie przeszedł lekki przeciąg. Światło nad moją głową zamigotało niecierpliwie, choć żarówkę wymieniałem zaledwie wczoraj.

- Spierdalaj, przecież idę – rzuciłem do swojego odbicia w lustrze. Wziąłem walizkę, płaszcz i różaniec. Byłem gotowy do wyjścia.

Pogoda zachęcała do dłuższych spacerów, zapraszając chłoszcząc twarz chłodnymi porywami wiatru, niosącego ze sobą zamarzający deszcz. Wyłażących na ulice ludzi witał wieczór tak smętny, że mógłby przyprawić o depresję całą grupę Monty Pythona. Odchyliłem głowę do tyłu i wyszczerzyłem się prosto w szare niebo, zupełnie jakbym rozumiał Boskie poczucie humoru. Chwilę po tym przemknąłem między alejkami, kuląc się w płaszczu jak jakaś tandetna postać z filmów noir. Gdzieś w głębi blokowiska jakiś dachowiec zaczynał wieczorny koncert.

Nienawidzę kotów.

Po piętnastu minutach mozolnego spaceru, dotarłem na przystanek linii tramwajowej. Na ławce obok mnie siedział zapijaczony jegomość. Pochylony był w pozycji, która zdradzała, że właśnie kontemplował mechanizmy rządzące wszechświatem, albo, że pod ławkę wpadła mu moneta. Tak czy inaczej wątpiłem, by czekał na ten sam tramwaj, co ja. Teraz powinno powstać w twojej głowie pytanie: *chwila, ten koleś kupił sobie plazmę do chaty, a nie stać go na choćby byle jaki samochód?* Stać, jednak cóż... Ujmijmy to w ten sposób: Czasem, jak już jest po tym wszystkim, ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie mogę nawet zawiązać sznurówek, więc o trzymaniu kierownicy nie ma mowy. Wolę wtedy najzwyczajniej opróżnić piersiówkę i pozwolić kierowcy wesołego tramwaju wyrzucić się mniej więcej pod domem. Poza tym, nie nabrałbyś podejrzeń jakby twoja sprzątaczką podjechała pod twój dom błyszczącym, nowym BMW? Ja bym swojej założył podsłuch pod butem, gdyby stać ją było choćby na rower.

Oczywiście gdybym w ogóle miał sprzątaczkę... i podsłuch.

Po kilku minutach oczekiwania nadjechał mój upragniony stalowy dyliżans, sypiąc iskrami i roznosząc wokół woń czegoś, co ma zamiar się za chwilę rozsypać. Wymieniłem z moim współtowarzyszem oczekiwania wszelkie uprzejmości. Znaczący ja spojrzałem na niego z obrzydzeniem, on zaś splunął mniej więcej w moim kierunku. Następnie wszedłem do tramwaju, zajmując najbliższe miejsce siedzące. Po kilku minutach trzymania głowy między kolanami i starania się by wyglądać najmniej blado jak się da, zdobyłem się na odwagę by się trochę rozejrzeć. Może to dziwnie zabrzmiało, ale poczułem chęć

pochłonięcia jak największej dawki śmierdzącej normalności, zanim wezmę się do roboty.

Amatorów wieczornych wycieczek tramwajowych nie było tak wielu jak się spodziewałem. Przede mną siedziała kobieta z małym dzieckiem. No może znowu nie takim małym. Chłopak miał na oko trzy lata, może cztery i w chwili, gdy zawiesiłem na nim wzrok, próbował zebrać z szyby warstwę skroplonej pary i wpakować ją sobie do kieszeni. Za każdym razem, gdy to robił, spoglądał do małej kieszonki w swoich małych, dżinsowych spodniach. Za każdy razem był niezwykle zdziwiony, że pomimo swojej ciężkiej pracy, nie udało mu się niczego zebrać. Następnie spoglądał w stronę swojej mamy z tym wyczekującym spojrzeniem, które domaga się wyjaśnienia wszystkich niesprawiedliwości tego świata.

Takie już są niestety uroki wkraczania w wiek, w którym budzi się w człowieku świadomość wszystkiego, co go otacza.

Naprawdę paskudny proces.

Ostatnim współtowarzyszem, a raczej współtowarzyszką mojej wycieczki, była pochłonięta w lekturze biblii zakonnica. Wyróżniała się od innych zakonnic zupełnie niczym. Do tego stopnia, że przez chwilę zacząłem się zastanawiać jak one się w ogóle rozpoznają z daleka? Po sposobie chodzenia? Odcieniu czerni? Może mają takie małe, ledwie widoczne tablice rejestracyjne? Szybko jednak wyzbyłem się tych myśli, odganiając je teatralnym i zbędnym gestem dłoni. Potem dopiero dotarło do mnie, że musiałem wyglądać przy tym jak krety.

Oparłem się wygodniej i przymrużyłem oczy.

Moje myśli powędrowały gdzieś daleko.

Do czasów zanim jeszcze stałem się *sprzątaczem*.

Do dnia, w którym mnie *zatrudniono*.

Dostałem zaproszenie na *rozmowę kwalifikacyjną*. Nie takie banalne, tanie, którym sprasza się starsze panie na prezentacje koszul i garnków. O nie. Tamto było eleganckie, ręcznie pisane piórem na ozdobnym papierze. Żadnego adresu zwrotnego, żadnego znaczka. Tylko miejsce spotkania i obietnica zarobienia ogromnej kasy w *szanowanej firmie z tradycjami*. Każdy mądry człowiek zapewne zignorowałby coś takiego i wyrzucił to cholerstwo do śmieci.

Czy ja już wspominałem, że jestem mądrym człowiekiem?

Nie? To bardzo dobrze, bo nie jestem.

Ucieszyłem się jakbym złapał pana Boga za nogi. Ubrałem najlepszą koszulę, wypryskałem się najlepszym *czymś*, co było akurat pod ręką i rzuciłem się biegiem przez miasto. Jakież było moje zdziwienie, gdy pod podanym adresem znalazłem stary kościół. O ile większe, jak znalazłem przypiętą do drzwi kopertę ze swoim nazwiskiem. Wewnątrz była kartka z napisem *wyspowiadaj się*. Przeszło mi przez myśl, że może chcą mnie zatrudnić w charakterze... no nie wiem... organisty? Pomyślałem też, że skoro tu jestem, to równie dobrze mogę skorzystać z sakramentu. Ja. Facet, który kościoła nie widział na oczy od pierwszej komunii. Chyba pod tą absurdalną myślą próbowałem ukryć fakt, że się bałem. Byłem przerażony, bo czułem, że decyzja tak naprawdę nie należy do mnie. Nigdy nie należała.

Otworzyłem drzwi i spojrzałem za siebie, na panoramę miasta. Pamiętam jaki malowniczy był wtedy wieczór. Nie jestem romantykiem, ale zachód słońca był tak ciepły i barwny. Następnie dotarł do mnie zapach. Stare drewno, kadzidło

i unoszący się w powietrzu kurz. Niechętnie przekroczyłem podwoje kościoła, ostrożnie przestępując nad dzielącą próg linią z białej kredy. Kiedy tylko wszedłem, jeden z konfesjonałów zatrzasnął się gwałtownie. Poczułem, że ktoś tam wewnątrz czeka właśnie na mnie. Przełknąłem ślinę i podszedłem bliżej. Upadłem na kolana przed małym, drewnianym okienkiem.

Pamiętam głos księdza zza krat konfesjonału. Miał taki delikatny, zniewieściały głosik. Nie wypowiadał mnie. Zadawał za to mnóstwo pytań. Wszystkich pytań. Takich zwyczajnych jak i całkowicie popieprzonych. *Jakich jest dwanaście pytań Izajasza?* – spytał. *Co kurwa?* – wykaszałem, a on na to, że to *dobra odpowiedź*. Denerwował się, głos mu się łamał. Trząsł się tak, że ta cała jego święta budka kiwała się na boki. Myślałem, że przy spowiedzi, to ja powinienem dygotać ze strachu. Po wszystkim wsunął kopertę na moją stronę *kratki*. W środku był adres, czek na okrągłą sumkę w ładnej walucie i krótkie polecenie. Nie zdążyłem nawet zapytać o co chodzi. Usłyszałem tylko trzask drzwiczek konfesjonału i szybki, nerwowy krok. Pomyślałem wtedy, że może zwyczajnie go przycisnęło, albo zaczął się jego ulubiony serial.

Nigdy się tego nie dowiem.

Brzmi banalnie, wiem.

Frazes.

Następnego dnia znaleźli tego księdza.

W pobliskim lesie.

Wymarznięty i niemal wykrwawiony od ran na nadgarstkach, które sam sobie zadał, wyrywając zębami kawałki mięsa. Przez trzy dni mówił językami, których świat

nie słyszał od tysięcy lat. Czwartego dnia zmarł w miejskim szpitalu.

Zerwałem się, gdy tramwaj nagle zahamował. Przystanek. Nie mój wprawdzie, ale zawsze jakiś. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przysnąłem. Nawet jeśli, to nie mogłem spać długo. Podniosłem się na siedzeniu i przetarłem twarz, żeby znów nie odpłynąć. Często mi się to zdarzało w środkach komunikacji miejskiej. Miały jakąś szczególną aurę, albo wyjątkowo niski poziom tlenu. Resztę drogi spędziłem przesadnie fascynując się widokami za oknem. Co z tego, że przez ciemność nic nie było widać. Tak po prostu nakazywała tramwajowa etykieta.

Znów wysiadłem w lodowaty deszcz. Czy już wspominałem, że była to tak naprawdę marznąca mżawka? Tak? Nie szkodzi. Mroziła tak bardzo, że warto wspomnieć o tym co najmniej dwa razy. Wystarczył krótki spacer, aby dało się dostrzec pierwsze wozy policyjne i niewielką grupkę gapiów, skupionych pod jedynym, dość rozłożystym drzewem. Wszyscy wgapieni byli w dwupiętrowy domek jednorodzinny, który wyglądał na równie kosztowny, co zaniedbany. Poszarzałe ściany straszyły odpadającą farbą i skruszonym tynkiem. Okna, nie myte zapewne od czasu wjazdu Jezusa do Jerozolimy, sprawiały, że wewnątrz domu nie wydawało się czarne, jak to bywa o tak późnej porze, tylko nienaturalnie szarawe. Na zapuszczonym trawniku, oddzielonym od reszty świata stalową siatką, błdziło w tę i nazad kilku zgarbionych funkcjonariuszy, którzy zapewne przegrali w jakiejś wyliczance. Przecież przy takiej pogodzie nikt z własnej woli nie zostaje na zewnątrz, by pilnować tłumu. Zreflektowałem się

niedużo, gdy podszedłem bliżej i zauważyłem jak z krzaków za domem wystaje przepisowo odziany tyłek jednego z policjantów. Facet właśnie bezwstydnie wymiotował. Robił to z taką pasją i rozmachem jakby się do tego urodził.

Wszedłem na zachwaszczony trawniczek, uśmiechając się do policjanta, który z miną *od jutra rzucam pracę i zostaję kwiaciarzem*, ruszył w moją stronę. Dłoń miał wyciągniętą przed siebie w niedbałym geście stopu. Może tylko chciał mi przybić piątkę? Zobaczyłem, że jego druga dłoń mimo wszystko wędruje w stronę kabury, więc zatrzymałem się posłusznie.

- Proszę stąd natychmiast odejść – rzucił. Głos miał równie bezbarwny, jak komendant przez telefon. Do tego przysięgałbym, że był bledszy niż ja i trząsał się z każdym krokiem.

- Nazywam się Damien Frost, zostałem tutaj wezwany...

- Nie interesuje mnie to. Proszę stąd spieprzać albo pana zakuję i wsadzę na dwadzieścia cztery.

- Zostaw go, Graves – usłyszałem prawie znajomy głos komendanta. Prawie, bo chyba pierwszy raz, odkąd nas sobie przedstawiono, stawał on w mojej obronie. Przemknęło mi nagle przez myśl kilka scen z *Inwazji porywaczy ciał*. Tak ot, po prostu, jak zwiastun w kinie. Chwilę później w mokrą mgiełkę wieczoru wtoczył się mój ulubiony przedstawiciel prawa, komendant Charles Lyon.

Z wyglądu przypominał bardziej postać z filmu gangsterskiego niż funkcjonariusza policji. Krótko ostrzyżony, puciołowaty, z brwiami krzaczastymi jak u Ala Capone. Nosił zwykle wyświechtany kapelusz z wąskim rondem, który pasował do czarnej, policyjnej kurtki jak świni siodło. Kaczym

krokiem sturlał się ze schodów, łypiąc okiem raz na mnie, raz na swojego podwładnego. Ręce trzymał nieprzepisowo w kieszeniach, szedł nieprzepisowo zgarbiony i z nieprzepisową, kwaśną miną. Jego grymas mógł też wynikać z tego, że bez przerwy coś przewalał w ustach. Podobno piętnaście lat temu rzucił palenie na rzecz nieco mniej okropnego nałogu - kompulsywnego wręcz pochłaniania miętówek. Czasem jadł ich tyle, że jego oddech szczypał wręcz w oczy i pozostawiał szron na policzkach. Zatrzymał się po chwili, podrapał w łysiejącą głowę, jakby nagle zapomniał po co miał w ogóle do nas przyjść, spojrzał w niebo i kontynuował przyczajanie się bliżej. Wyglądał jakby jednocześnie chodzenie i myślenie sprawiało mu spore kłopoty.

- Pan Frost – zaczął. Matko, *pan Frost*! Poczuję się taki ważny i doceniony. - Jest naszym policyjnym sprzątaczem. Ma pełne prawo tu być, a jego zadaniem jest doprowadzić mieszkanie do porządku najszybciej jak to jest możliwe.

- Panie komendancie, nie sądzi pan, że mamy już wystarczającą ilość problemów? Zginęły cztery osoby, wszystko jest w rozsypce, technik rzyga w chaszczech. Nie mamy dość ludzi, żeby ogarnąć własny bajzel i nie potrzebujemy niańczyć żadnej, cywilnej sprzątaczkii! – oficer Graves uniósł się nieco. Nie krzyczał oczywiście, żeby nie zwrócić uwagi żadnych sensacji gapiów. Cedził słowa przez zaciśnięte zęby, puszczać przy tym takie małe bańki ze śliny. Niezbyt kulturalnie i przepisowo, choć można mu to było wybaczyć. Śmierdział wręcz strachem i zmęczeniem. Jego zapach można by zbierać do małych buteleczek i zbijać na nich fortunę, sprzedając jako *eu du JaPierdoleNieChcęWięcej*.

Zapach dla każdego mężczyzny, który przeskoczył przez granicę własnej, psychicznej wytrzymałości.

- Graves, synu – powiedział komendant spokojnie, kładąc mu rękę na ramieniu. - Jeśli tak bardzo martwisz się o ilość ludzi jaką mamy w tej robocie, to może przejdiesz się teraz do samochodu techników? Wezmiesz od nich dużą torbę patyczków do uszu i przy ich pomocy zbierzesz całą rodzinę Burrensów do setek malutkich słoiczków? – spytał bez cienia złośliwości. Po prostu malowniczo przywoływał podwładnego do porządku. Graves, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zbladł jeszcze bardziej i zwiesił głowę. Nastąpiło to tak gwałtownie, że przez chwilę miałem wrażenie, iż oficer zemdlął i tylko cudem jeszcze trzyma się na nogach. Miałem już ochotę trącić go czubkiem buta, żeby sprawdzić czy się przypadkiem nie przewróci. Ten jednak bez słowa oddalił się w stronę dyskretnie położonej kępy krzaków. Ja zaś mogłem wrócić do nieprzyjemności rozmowy z komendantem twarzą w twarz.

Objął mnie ramieniem, jakbyśmy byli kumplami przynajmniej od czasów wielkiej schizmy, i przysunął bliżej siebie. Choć gest ten wydawał się niezwykle przyjacielski, to zapewne nie miał on nic wspólnego z sympatią. Lyon raczej zamierzał wprowadzić mnie w świat ohydnych szczegółów tak, by możliwie jak najmniej osób mogło dosłyszeć naszą rozmowę. Zanim pozwoliłem mu zacząć jego przemówienie o ludzkim okrucieństwie, musiałem zadać mu jedno, bardzo głupie pytanie.

- Czemu tu jeszcze jesteście? – wypaliłem bezceremonialnie. Na kilka sekund zapadła taka cisza, że słyszałem jak w tętnicach odkłada mi się cholesterol.

Komendant spojrzał na mnie, na dom, na plamkę po musztardzie zdobiącą jego rękaw i znów na mnie.

- Nie możemy tego ogarnąć – powiedział nagle, spoglądając w innym kierunku, jakby szukał osoby, która za niego wypowiedziała te słowa.

- Nie... – poprawił się nagle i wyprostował. – Nie zdążyliśmy tego ogarnąć.

- Nic z tego nie rozumiem – odpowiedziałem, marszcząc przy tym czoło jak prawdziwy myśliciel.

- Ledwie weszliśmy do tego budynku, a dało się coś *poczuć*. Nie wiem co. Kurwa – to ostatnie słowo rzucił dość obojętnie. Zupełnie jakby postanowił nagle go używać jako substytutu kropki. Coś jak *odbiór* w komunikacji radiowej.

- Rozwiniesz się jakoś? – spytałem, bezwiednie trąc kciukami boki palców wskazujących. Nie usłyszałem jeszcze nic konkretnego, a już miałem ochotę zapalić.

- Słuchaj – podjął po chwili. Brzmiało to znacznie dobitniej niż poprzednie *Kurwa*. Puścił moją szyję i stanęliśmy twarzą w twarz. Był tak blisko, że mogłem policzyć żyłki na białkach jego oczu. Na pierwszy rzut oka było ich co najmniej dwadzieścia dwie. – Ledwie przestąpiliśmy próg, a jeden z moich ludzi zemdłał. Drugiemu tak poszła krew z nosa, że musieli go zabrać na intensywną terapię. Mój główny technik dostał ataku paniki i właśnie rzyga w krzakach, a cała reszta boi się czegokolwiek dotknąć. Kurwa, Frost mamy tu paranoję prawie jak z klątwą faraona! Myślisz, że dzwoniłbym do ciebie tak wcześniej, gdyby to nie było konieczne? - punkt i piłka po jego stronie. Rzeczywiście komendant starał się ograniczać nasze kontakty do minimum. Nie przepadał za mną, albo nie czuł się przy mnie zbyt *komfortowo*. Jedno z dwojga.

- Boję się o swoich ludzi – dorzucił po dłuższym wdechu. Z tak pokaźną klatką jak jego, nawet oddychanie było wyzwaniem. – Odprawię ich. Wejdź tam, odczyń te swoje voodoo, seanse, zrób cokolwiek, żebyś mógł ich tam wpuścić jutro rano.

- Cztery ofiary? – spytałem, prostując się. Pot spływał mi po plecach, marznąc na sople chyba gdzieś w okolicach tyłka.

- Sześć, jeśli będziemy małostkowi – powiedział, ponownie przeczesując palcami przerzedzone włosy.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Do zdarzenia doszło prawdopodobnie około wpół do siódmej. Facet zabił swoją żonę, dwie córki i brata. Brat przyjechał tu omówić sprawy majątkowe. Kilka dni temu zmarł ich ojciec i to jest dom, a raczej cały majątek, który zostawił braciom do podziału. Sąsiedzi zeznali, że kilka minut po siódmej usłyszeli wrzaski i wezwania pomocy. Gdy tam dotarliśmy, facet leżał ledwie żywy w łazience. Próbował się zabić, tłukąc się młotkiem po głowie. Ze wstępnych ekspertyz wynika, że pozostałe osoby zamordował przy użyciu tego samego narzędzia zbrodni.

Narzędzie zbrodni, ekspertyza. Od policyjnego żargonu robiło mi się niedobrze. Bardziej w tym metafizycznym sensie. Brutalny mord był w nim *zdarzeniem*, przedmiot, który odebrał komuś życie był niczym innym jak *narzędziem zbrodni*. Natomiast psychopata rozkawałkowujący swoją rodzinę, *sprawcą*. Wszystko poukładane i skategoryzowane. Usilne szukanie porządku w najbardziej chaotycznych czynach jakie zna ludzkość.

- Pięć.

- Co? – wycharczał, krzywiąc się przy tym.

- Mówiłeś, że jest sześć ofiar. Tamten oficer, że cztery. Rozumiem, że policzyłeś półżywego, psychopatycznego ojca rodziny, co umknęło kalkulacji pana Gravesa. Do tego dochodzą dwie córki, żona i brat. To daje razem pięć. Gdzie jest szósta ofiara?

- To też popieprzona sprawa – powiedział, ze świstem wciągając powietrze. Zawiesił wzrok na kilku betonowych schodkach prowadzących do wejścia.

- Żona tego gościa była w szóstym miesiącu ciąży. Sąsiedzi mówią, że to miał być chłopiec.

Komendant chyba usłyszał jak przełykam ślinę przez ściśnięte gardło. Cholera, zdziwiłbym się, gdyby nie słyszała tego cała dzielnica. W siąpiącym deszczu przez kilka ironicznie długich sekund wpatrywałem się w zapadnięte, noszące ślady katarakty oczy komendanta. Chyba otworzyłem usta, bo wzrok Lyonsa z moich brwi nagle przeniósł się na brodę. Może po prostu miałem coś między zębami? Starałem się skupić na spokojnym oddechu, usilnie odsuwając od siebie wszystkie obrazy, które podsuwał mi mózg. Uwierz mi, było ich wiele i żadnym nie chciałbym się teraz dzielić.

- Gdzie drugi technik? – rzuciłem najbardziej nonszalancko jak się dało w tej sytuacji. Czyli ślaniając się na nogach i starając się nie zemdleć. Zastanawiałem się czy w krzakach znalazłoby się jeszcze jedno wolne miejsce.

- Uciekł – odparł komendant spluwając w trawę. – Spieprzył z krzykiem, o mało nie wpadając pod autobus.

Tym razem z całą pewnością reszta miasta usłyszała jak przełykam ślinę. *Dlaczego wziąłem tę robotę?* - pytałem siebie. Odpowiedź była prosta, *nie miałem wyboru*. Szczerze, chyba

wolałbym już być kaskaderem niskobudżetowych filmów porno, albo klaunem na rodeo.

Wziąłem wdech tak głęboki, jakby miał być moim ostatnim.

- Idę tam – rzuciłem i ruszyłem w stronę budynku.

- Frost! – głos komendanta sprawił, że wryło mnie w ziemię.

- Tak? – spytałem, nie odwracając się. Chyba chciałem wyglądać jak twardziel, albo nie chciałem zamienić się w słup soli.

- Po wszystkim chcę dokładny i szczegółowy raport na temat tego, co ruszałeś w tym domu. Zrozumiałeś? – powiedział już znacznie bardziej ożywiony.

- Nie – odparłem.

- Nie?! Co to znaczy *nie*?

- Nie, dopóki nie powiesz *proszę* – nie mogłem sobie odpuścić. Nie czułbym się sobą, gdybym nie przyprawił tego człowieka o kilka dodatkowych siwych włosów. Podszedł do mnie i zacząłem się zastanawiać, czy po trzech latach naszej współpracy nie postanowił mnie w końcu udusić albo przynajmniej zdzielić w ryj. Położył mi rękę na ramieniu i ścisnął tak, że poczułem jak chrzestczą mi stawy. Cholera, może komendant na to nie wyglądał, ale z całą pewnością miał moc w łapach.

- Bardzo cię, kurwa, proszę – powiedział nadzwyczaj spokojnie.

- Postaram się, ale niczego nie obiecuję – rzuciłem, siłąc się na uśmiech.

- Graves! – wrzasnął Lyon tuż nad moim uchem. Przez chwilę słyszałem pisk podrażnionego bębena i zaraz po tym

szybkie, choć nierówne kroki policjanta. Stanął przed nami błądy, w lekko ubrudzonym mundurze. Wycierał usta chusteczką i wyglądał jak ktoś, kto właśnie wymieniał w myślach wszystkie swoje *szczęśliwe miejsca*.

- Tak? – odparł, łapiąc hausty powietrza. Biegał dookoła tego krzaka, obrzygując go, czy jak?

- Zwijaj chłopaków, skończyliśmy. Resztą zajmie się pan Frost – *pan Frost* dziś już po raz drugi. Jakaś kumulacja czy co?

- Ale... - zaczął Graves, jednak piorunujące spojrzenie komendanta zgasiło w nim wszelką wolę walki i sprzeciwu. Potulnie wszedł do domu, po czym krzyknął na swoich kumpli po fachu, że tutaj robota się już skończyła. Poszedłem za nim i stanąłem w progu, czekając aż wszyscy wyjdą. Większość z nich już mnie znała. Cieszyli się na mój widok. Może nie fizycznie, ale w ich oczach widać było ulgę i zadowolenie. Jeden z nich poklepał mnie po ramieniu, chyba z wyrazami współczucia. Przemilczałem ten krótki pochód ulgi i radości, wpatrując się w swoje buty i licząc rozsypane pod schodami kamienie.

Dwanaście naliczyłem, gdy wyminęła mnie ostatnia para służbowych buciorów. Zrobiłem dwa głębokie wdechy, odganiając strach bądź treść. Sam nie wiem dokładnie co to było. Ktoś klepnął mnie w plecy, gdy tylko wszedłem na pierwszy stopień ganku. Graves patrzył na mnie jak na zbawcę albo ostatniego idiotę, który ma właśnie zamiar włożyć łeb do paszczy lwa. Naprawdę miałem wrażenie, że albo przesadzają, albo za rogiem czai się na mnie psychol z piłą mechaniczną. Przez pieprzoną psychologię tłumu czułem, że sam zaczynam mieć tego miejsca dość zanim w ogóle znalazłem się w środku.

- Powodzenia – powiedział. Nie wiem, czy to było coś w jego twarzy, czy w tonie głosu, ale przeszedł mnie zimny dreszcz. Nie czekał na odpowiedź ani moją reakcję. Po prostu odwrócił się i poszedł za resztą *wesołej gromadki*.

Zazdrościłem im w tym momencie.

Tłum gapiów przerzedził się i w końcu wszyscy, zniechęceni brakiem akcji czy krwawych scen, rozeszli się do domów. Ja zaś stałem pod otwartymi drzwiami jak świadek Jehowy bez powołania i gapiłem się na fragment kolorowego dywanika, równiutko wyłożonego w schludnym korytarzu. Mroźna mżawka tłukła o moje plecy jakby chciała siłą zagonić mnie do środka. Nim podjąłem jakąkolwiek decyzję, szary, przegowany dachowiec prześlizgnął się między moimi nogami i wpadł do środka jak do siebie.

- Ciebie tu nie zapraszałem – rzuciłem z niesmakiem. Wspominałem już, że nienawidzę kotów? Tak? No cóż, warto o tym przypomnieć od czasu do czasu. Skąd ta niechęć? Może później ci wyjaśnię.

Wszedłem do środka, zamykając drzwi kluczem, który jakiś gamoń zostawił w zamku.

- Zaczyna się – mruknąłem po części do siebie, po części do kolorowego dywanika. Dywanik nie odezwał się słowem. Milcząco opływał prowadzące na piętro, strome, drewniane schody. Mieszkanie nie było zbyt wystawne, lecz zdecydowanie lepiej prezentowało się w środku, niż na zewnątrz. Białe, bezpłciowe ściany, upstrzone były wieloma, zbędnymi dodatkami. Jedna z nich obwieszona była od góry do dołu zdjęciami starszego człowieka, zapewne pana domu. Stał on w towarzystwie innych, starszych ludzi, którzy szeroko się uśmiechali i chętnie ściskali mu ręce w niezwykle politycznej

pozie. Na przeciwległej ścianie rozpościerała się niewielka kolekcja pamiątek, której największy odsetek stanowiło kilkanaście drewnianych, zapewne ręcznie rzeźbionych masek. Jedną z nich rozpoznałem jako afrykańską, reszty nie pokazywali w programach edukacyjnych.

Jak na razie całkiem nieźle – pomyślałem, kładąc walizkę na ziemi. Niestety za wcześnie na jakiegokolwiek świętowanie. Naprzeciwno mnie były drzwi. Prawdopodobnie do salonu. Jasne, ostre światło przesączało się pod framugą, świadcząc o tym, że ktoś tam urządził sobie solarium. Ewentualnie technicy mogli w pośpiechu zapomnieć swoich reflektorów – wersja bardziej prawdopodobna. Z korytarza widziałem jeszcze jedne drzwi. Te, dzięki Bogu, były zamknięte. Mogło to oznaczać, że nie zdarzyło się tam nic ciekawego albo zamknęli je pośpiesznie, chcąc zacząć pracę od najmniejszego bajzlu. Do tego trzecie drzwiczki, pod schodami. Zapewne jakaś szafka, albo schowek na zwłoki. Nic ponad standard.

Otworzyłem walizkę i wyciągnąłem z niej dyktafon. Drugą ręką sięgnąłem do kieszeni, wyjmując z niej różaniec. Owinąłem go sobie wokół palców. Uważałem te wszystkie czynności za czystą głupotę, ale tak już nakazywał niestety mój kodeks pracy. Wolałbym nie wiedzieć co się dzieje z tymi, którzy go nie przestrzegają.

Włączyłem nagrywanie.

- Jest dziewiąty marca roku pańskiego... nie wiem po cholerę mam to mówić jak i tak złożę tę taśmę jeszcze dzisiaj w pańskim biurze, proszę komendanta – zacząłem, opierając się beztrzesko o drzwi. – Wpis pierwszy, sprawa morderstwa Burrensów. Nie zauważyłem żadnych oznak nieprawidłowości, o jakich wspominał mi komendant policji rejonowej.

Temperatura wewnątrz budynku jest normalna, brak ruchów powietrza. Nie odczuwam też zakomunikowanych mi wcześniej dolegliwości, takich jak uczucie lęku, czy nudności. Podejrzewam, że wymiar zbrodni, oraz jej przebieg nazbyt pobudziły wyobraźnię i żołądki zajmujących się nią oficerów. Damien Frost, koniec wpisu pierwszego.

Krótko, logicznie i profesjonalnie. Wyłączyłem dyktafon z poczuciem dobrze odpięprzonej pańszczyzny. Następnie włożyłem go do kieszeni płaszcza.

Wziąłem głęboki wdech. Cały dom pachniał niedawno jedzoną kolacją. Pieczonym chlebem, odgrzewanymi resztkami, oraz lekką nutką, która niektórym ludziom towarzyszy przez całe życie, a na pewno pod jego koniec. Był to zapach śmierci. Kolejny raz wypełniłem płuca zgromadzonym tu powietrzem. Musiałem w końcu zacząć, choć zdecydowanie wolałbym to odwlekać w nieskończoność.

- Nazywam się Damien Frost, przybywam w imieniu gwardii! Opuść to miejsce z własnej woli albo zostaniesz spuryfikowany! – oznajmiłem kolorowemu dywanikowi i odpadającym od sufitu kasetonom. Nic się nie stało. Nic nie eksplodowało. Żadnych demonicznych głosów, pentagramów, diabłów, czy choćby zawrotów głowy. Cholera nawet maski na ścianie patrzyły na mnie z lekkim zażenowaniem. Byłem nawet trochę zawiedziony. Cóż, czekało mnie więc nudne posiedzenie ze szczoteczką do zębów i płynem do podłóg o zapachu wiosennych kwiatów.

Nuda czasem jest nawet fajna.

Zanim zacząłem szorować, skrobać i kłąć, postanowiłem rozejrzeć się po domu. Wiesz, musiałem sprawdzić jakie koszule zostały do poprasowania, gdzie wytrześć dywany i ile

zębów będę musiał wyciągnąć z gipsowej ściany. Poza tym znalezienie wiadra i bieżącej wody byłoby wręcz bajecznym ułatwieniem.

Pierwszy przystanek, zamknięty pokój.

Wstrzymać oddech.

Uchylić drzwi.

Zapalić światło.

Pokoik tak naprawdę okazał się niewielką kuchnią. Znacząco niewielką jak na standardy normalnych ludzi, ponieważ pokrywała mniej więcej taką samą powierzchnię co mój *salon* i łazienka razem wzięte. Pomieszczenie było urządzone z pomysłu i bez zbędnych fajerwerków. Błat z imitacji marmuru kroił wewnątrz na pół, tworząc jedność ze znajdującą się pod ścianą kuchenką elektryczną. Rzędy wypolerowanych na błysk szafek przypominały okładkę folderu Ikea. Odstępstwem od wszechogarniającej nowości był tylko zapach toster i mikrofalówka, wyglądem przypominająca bardziej opętane narzędzie zniszczenia, niż sprzęt kuchenny. Ciekawe czy sąsiadom śniżył telewizor, gdy staruszek podgrzewał sobie obiad? *Względnie* – pomyślałem, przekonany, że mógłbym tak mieszkać. Oczywiście bez tych wszystkich martwych ciał i plam krwi, które gdzieś tam na mnie czekają. Odetchnąłem. Zostało jeszcze jedno pomieszczenie i jedno piętro do odhaczenia.

Skierowałem się do drzwi, spod których wyzierał zimny blask.

Wstrzymać oddech. Uchylić. Światło już jest zapalone.

Wnętrze było jadalnią. Przynajmniej na pierwszy rzut oka sprawiało takie wrażenie. Centralnym meblem był oczywiście stół. Rozłożysty, drewniany mebel, na którym za czas

odcisnął się w kilku widocznych miejscach. Dookoła znajdowało się pięć krzeseł, z czego trzy stały. Jedno było rzucone w kąt, drugie leżało w kilku kawałkach. Przeciwległa do drzwi ściana była dość surowa, zgodnie ze stylem reszty tego domu. Mieścił się na niej tylko żeliwny kominek, nad którym wisiał okazałych rozmiarów, choć nieco niepokojący obraz Matki Boskiej trzymającej w ramionach zdjętego z krzyża Jezusa. W kominku tlił się jeszcze żar, dodając do unoszącego się zapachu posiłku lekki aromat dymu. Po lewej stronie od kominka znajdowały się pozbawione zasłon okna. Ściana naprzeciw paleniska była nieco bardziej interesująca.

Wstrzymać oddech.

Pod stołem znajdowało się kilka rozbitych talerzy. Wysypana z nich zawartość tworzyła na drewnianej podłodze sałatkowo-kanapkową mozaikę, rozchodzącą się promieniście od miejsca, w którym ktoś pociągnął za obrus. Z miejsca, w którym stałem, widziałem czyjeś nogi, jasno oświetlone przez dwa, rozstawione na stole reflektory. Nogi, warto by nadmienić, dość zgrabne i ubrane w pończochy, więc miałem do czynienia z żoną, bądź którąś z córek sprawcy. Chyba, że jego brat był drag queen.

Wymienić powietrze w płucach.

Wstrzymać oddech.

Wejść powoli do pomieszczenia.

Cokolwiek tam jest, starać się nie krzyczeć.

Zrobiłem krok naprzód. W takich sytuacjach dobrze jest być upartym. Nie w stosunku do innych, lecz do samego siebie. Twój mózg, nogi, cały organizm drze się, że powinienes uciekać. Już mniejsza nawet o uciekanie. Cokolwiek robisz, po prostu nie idź w tamtym kierunku! Jednak na nic się to nie

zdaje. Stajesz się niewzruszony na własne odruchy. Zostało postanowione już, że tam wejdiesz i sam nawet nie cofniesz tej decyzji.

Kolejny krok. Jeszcze jeden. Wystarczy. Powoli odwróciłem się w stronę ciała. Oparta o ścianę leżała kobieta w wieku nieprzekraczającym czterdziestu lat. Nogi rozstawione szeroko, ręce luźno położone po bokach. Gdyby nie reszta jej aparycji, widząc ją można by pomyśleć, że przedwcześnie zakończyła się dla niej niezwykle huczna impreza. Sięgająca normalnie za kolana, czarna spódnica podwinięta była niemal pod biodra. Połyskująca, biała koszula z krótkimi, bufiastymi rękawami zwieńczona była pod szyją krótkim sznurem nienaturalnie dużych, drewnianych imitacji koralików. Na palcach błyszczały pierścienie, w tym jeden z drobnym kamieniem. W dłoni ścisnęła jeszcze róg białego obrusu. Na tym kończyły się przyjemne dla oka widoki.

Jej twarz.

Nie była w żadnym wypadku szpetna. Oczywiście kiedy jeszcze była cała. Teraz malował się na niej wyraz ostatecznego zdziwienia. Wybita z zawiasów dolna szczeka zwieszała się luźno, prostując przy tym dwie, drobne zmarszczki przy ustach. Szeroko otwarte oczy patrzyły się gdzieś na ścianę. Zupełnie jakby zobaczyła tam coś niezwykle szokującego. Lewe ucho zostało niemal zdarte uderzeniem, drugie było przyciśnięte do ściany. Z ogólnego wyglądu i ułożenia ciała mogłem wywnioskować, że została zabita pierwszym ciosem w głowę. Została też uderzona tylko raz. Przynajmniej ona.

Poniżej linii szyi zaczynał się o wiele brutalniejszy obraz. Sprawca nie potrafił nikomu przepuścić. Zupełnie jakby chciał się upewnić. Z początku pomyślałem, że rozpiął jej koszulę,

jednak chwilę potem zauważyłem, że wszystkie guziki są zerwane. Nie miał żadnych bardziej konkretnych planów wobec niej, bo białe, koronkowy stanik pozostał na miejscu. Inaczej było ze spódnicą. Została rozpięta tak, by odsłonić cały, uwydatniony ciężą brzuch. Na nim śladów uderzeń było znacznie więcej. Nie byłbym w stanie zliczyć ile, gdyż zlewały się w jedną, sino-czerwoną plamę usytuowaną na prawo od pępka. Chciałem się temu bliżej przyjrzeć. Przysunąłem się i podparłem ręką, jednak zaraz po tym cofnąłem się z obrzydzeniem.

Dół spódnicy był lepki od zastygłej krwi.

Nienarodzony z całą pewnością nie przeżył.

Wyprostowałem się nieco szybciej niż bym sobie tego życzył. Poczułem jak krew odpływa mi z mózgu, zaś przed oczy wyskoczyły snopy kolorowych iskier. Oparłem się o stół, nieopatrznie wkładając rękę w jakąś makaronową sałatkę. Złapałem głęboki oddech, potem następny. Wyciągnąłem z kieszeni dyktafon i zacząłem audycję dla komendanta.

- Panią domu zastałem w pomieszczeniu, które przynajmniej dziś pełniło funkcję jadalni. Śmierć została zadana poprzez uderzenie tęym narzędziem w głowę. Prawdopodobnie był to wspomniany wcześniej przez komendanta młotek. Brak wyraźnych śladów walki wskazuje na atak z zaskoczenia. Czyli żona była jego pierwszą ofiarą.... Brak jest też jakichkolwiek oznak mordu rytualnego. Zbrodnia wygląda na dokonaną w szale, bądź afekcie – zawiesiłem głos na chwilę. Przeniosłem wzrok na jej brzuch. Złapałem się na tym, że zacząłem się zastanawiać czy płód coś czuł. Nie w sensie bólu, to jest oczywiste, ale czy czuł strach? Zapewne tak. Czy wiedział, że umrze? Pewnie się domyślał. Czy wyczuł,

że ginie z ręki własnego ojca? Na to pytanie chyba wolałbym nie znać odpowiedzi.

- Śmierć zadano też nienarodzonemu dziecku – kontynuowałem. – Niezliczona ilość ciosów w brzuch, zadanych zapewne tym samym narzędziem, świadczy o przejawie furii. Istnieje też możliwość, że napastnik chciał mieć po prostu pewność, że jego nienarodzony syn nie zostanie odratowany. Po krwi w okolicach spódnicy i siniakach wnioskuje, że do zadania obrażeń doszło, kiedy w zaatakowanej jeszcze tliło się życie – przerwałem, łapiąc dłuższy oddech. Dłuższy, równoważący, bardzo niezbędny oddech. – Jak do tej pory brak zjawisk, o których raportował mi komendant.

Usiadłem na krześle i schowałem twarz w dłonie. Dyktafon jeszcze przez chwilę buczał mi do ucha nim postanowiłem go wyłączyć. Przez moją głowę przewijał się właśnie rozszalały rój myśli, żądłac niemiłosiernie moją psychikę. Oglądałem już wiele takich scen w swoim życiu i już nie raz słyszałem, że można się do nich przyzwyczaić. Cóż, przyzwyczajenie z całą pewnością nie wchodziło w grę. Przynajmniej nie w moim wypadku. Uwierz mi, takie obrazy prześladowają człowieka do końca życia.

Podniosłem się i energicznie przetarłem twarz. Nie mogę tak siedzieć. Nie mogę tak zostać i się trząść, bez względu na to, co widziałem. Jeśli komendant miał rację, to martwi ludzie są tutaj moim najmniejszym zmartwieniem.

Nonszalancko ukloniłem się martwej kobiecie. Tak po prostu, by jej nie obrazić choćby po śmierci. Następnie wyszedłem, naznaczając jej czoło znakiem krzyża i cichą modlitwą.

Gdy z powrotem byłem na korytarzu, po moich plecach przebiegł zimny dreszcz. Gdzieś zrobił się przeciąg albo zwyczajnie próbowałem się otrząsnąć z tego, co przed chwilą zobaczyłem. Zostały jeszcze schody na górę i naprawdę nie miałem ochoty po nich wchodzić. Myślisz, że bałem się, że jakaś tajemnicza siła mnie stamtąd zepchnie? Przerażała mnie raczej myśl, że żadna nie zechce tego zrobić. Obite czerwonym dywanem, stare stopnie zaskrzypiały pod moimi stopami, gdy powoli wspinałem się na kolejną kondygnację budynku. Poręcz wyglądała tak żałośnie, że wolałem jej nawet nie dotykać. Zatrzymałem się, gdy poziom podłogi piętra przeciął się z linią mojego wzroku. Rozejrzałem się ostrożnie, lecz ku mojemu zdziwieniu nie zobaczyłem nic, co mogłoby przykuć czyjąkolwiek uwagę. Nie to, żebym należał do tych wybrednych, jednak cztery pary drzwi, drewniana podłoga i stary zegar z kukułką to o wiele za mało, by mnie zainteresować.

Wstrzymać oddech.

I tak dalej.

Jestem na piętrze.

Wyprostowałem się i jeszcze raz omiotłem drzwi wzrokiem. W myślach próbowałem przypomnieć sobie jakąś wyliczankę, która pomogłaby mi któreś wybrać. Ene... due... a pieprzyć to, pierwsze z lewej. Tak, w ten oto finezyjny sposób znalazłem się w łazience. Kompletnie nic do oglądania. Kabina, średniej wielkości narożna wanna, zapewne z funkcją jacuzzi. Do tego umywalka, toaleta, lustro. Znalazłem też kilka chromowanych uchwytów pomagających starszym ludziom bezpiecznie korzystać z takich dobrodziejstw cywilizacji. Wszystko nosiło ślady użycia i wyraźne zacieki. Na bonus

znajdowało się tu mnóstwo kobiecych kłopotów. Znowu poczułem, że jedno pomieszczenie w tej chałupce było mniej więcej rozmiarów całego mojego mieszkania, więc z niesmakiem i lekkim ukłuciem zazdrości zamknąłem drzwi. Kolejny zimny dreszcz. Tym razem byłem pewien, że to nie przeciąg, ani mój zmęczony umysł. Zatrzymałem się na chwilę, nasłuchując ciszy. Wyglądałem pewnie jak surykotka z filmu przyrodniczego. Zwarty, gotowy, wyprostowany i, na swój uroczy sposób, zdeorientowany.

Po kilku sekundach wzruszyłem tylko ramionami. *Cóż, taka praca* – pomyślałem, jednak nie opuszczało mnie narastające uczucie niepokoju. Sygnał od podświadomości, która wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć, lub pospolity załazek paranoi. Jedno z dwojga. Chcąc jak najszybciej mieć za sobą wycieczkę po tym nawiedzonym dworze, zwróciłem się do kolejnych drzwi.

Nie wyszło mi to najlepiej.

Zapewne zapomniałem o właściwej ostrożności, chociaż trudno mi teraz roztrząsać, co dokładnie poszło nie tak. W jednej sekundzie otwierałem beztrzesko drzwi, w drugiej łapałem równowagę, modląc się, by barierka za mną wytrzymała napór mojej skromnej osoby. Tajemnicza siła, myślisz? Być może. Mroczna potęga mojej własnej głupoty. Pokój był typowym pokojem małej dziewczynki lub młodszej siostry. Tak, czy inaczej z całą pewnością należał do dziecka, które rodzice lubili rozpieszczać. Różowe ściany, różowy, puchaty dywanik i wiele innych słodko-mdłych dodatków, nadających całemu pomieszczeniu nierealnie wręcz cukierkowy wygląd. Było niewielkie, jasnoróżowe łóżeczko z lekkim baldachimem. Także i regał, obstawiony od góry do dołu

wszelkiego rodzaju lalkami, wraz z całą paletą przynależących do nich gadżetów. Był nawet dość sporej wielkości domek dla lalek, który sięgałby mi mniej więcej do pasa.

Na tej samej wysokości była krew.

Pojedyncza, rozlana smuga wyglądająca bardziej jak przypadkowy, zbyt zamaszysty ruch pędzla ekspresjonisty. Na białoróżowym, puchatym dywaniku było ich więcej. Jedne rozmazane, inne całkiem wyraźne. Wszystkie czerwone, całkiem świeże. Im dalej, tym więcej ich było. Kończyły się pomiędzy jasnoróżowym łóżeczkiem, a utrzymaną w tej samej tonacji nocną szafeczką, na której spoczywało ciało dziewczynki. Miała około czterech, może pięciu lat. Jej przerażone, zapadnięte w głąb czaszki oczy spoglądały w sufit. Usta zastygły wykrzywione w szlochu i panice.

Nie byłem gotowy.

Ten widok dosłownie rzucił mną w tył, zatrzymując na spróchniałej barierce schodów. Złapałem w końcu równowagę i zgąłem się wpół, ciężko łapiąc oddech po obiciu pleców poręczą. W duchu dziękowałem Bogu, swojemu aniołowi stróżowi i wszystkim po kolei, że przeżarty przez korniki kawał drewna wytrzymał. Gdy nabrałem wreszcie odwagi w sercu i powietrza w płucach, włączyłem dyktafon, przezornie nie podnosząc wzroku.

- Znalazłem, jak podejrzewam, młodszą z córek. – Zacząłem, dysząc w mikrofon nieco zbyt mocno, pocąc się trochę za bardzo. – Wiek około czterech lat, blondynka, z całą pewnością nie żyje. Ze wstępnych oględzin wynika, że po pierwszym, skutecznym ciosie próbowała wczołgać się pod łóżko. – Chwila przerwy. Szybka, niemal chłodna analiza poczyniona pomiędzy kolejnymi, urywanymi oddechami.

Nigdy nie byłem policjantem. Nigdy się też nie bawiłem w detektywa. Zwyczajnie czasem wiedza o tym kto i w jaki sposób zginął była niezbędna. Leżała na plecach. Jasne rajstopki, które miała ubrane, były nieco ściągnięte z jednej strony. Przez półprzezroczysty materiał przebijał się nieco ciemniejszy kolor. Znów przemówiłem do bezdusznego słuchacza.

- Prawdopodobnie, gdy zaczęła uciekać, napastnik złapał ją za nogę. Następnie wyciągnął ją spod łóżka i cisnął o nocną szafkę jak... jak... - tu zabrakło mi wykwintnych metafor, więc zwyczajnie wyłączyłem dyktafon. Rzucił nią jak jakimś przedmiotem. Kruche ciało nie wytrzymało siły uderzenia. Zapewne zmarła od urazów wewnętrznych, bądź pęknięcia kręgosłupa. Zamknąłem drzwi, nie podnosząc wzroku. Pomiedzy kolejnymi oddechami usłyszałem czyjeś kroki.

- Halo? – zapytałem jak idiota w chwili, gdy skrzypnął jeden ze stopni. Oczywiście nikt mi nie odpowiedział. Policjanci nie weszliby tu z powrotem. Nie po tym z jaką wdzięcznością w oczach wynosili się z tego domu. Sąsiadka, której jakimś cudem umknęło morderstwo całej rodziny raczej zaczęłaby się drzeć w niebogłósy na widok pierwszego ciała, zamiast zwiedzać piętro. Jeśli natomiast odwiedziłby mnie jakiś psychopata, to z całą pewnością nie odpowiedziałby mi. Oczywiście każda z wyżej wymienionych osób powinna umieć przechodzić przez zamknięte na klucz drzwi. Wierz mi na słowo, byłem tak roztrzęsiony, że z pewnością usłyszałbym otwieranie drzwi. Usłyszałbym nawet pierdnięcie komara, jeśli wolno mi to przedstawić bardziej malowniczo.

Przez jakiś czas stałem nieruchomo, nasłuchując i starając się nie czynić już dalszych skojarzeń pomiędzy sobą

i surykatkami. Nie wiem na co liczyłem. Może spodziewałem się usłyszeć *przepraszam pomyłka*, albo *dzień dobry, pierniczka przyniesłam* wypowiedziane rzęzącym głosem starszej kobiety. Obszedłem poręcz i wychyliłem się lekko, by zobaczyć, czy nie ma kogoś na schodach. Ani żywej duszy, co w tej sytuacji mogłoby zabrzmieć trochę za bardzo ironicznie. Włączyłem ponownie dyktafon. Tym razem byłem bardziej profesjonalistą niż zastraszoną sprzątaczką.

- Zaczynam doświadczać pewnych niepokojących zjawisk – oznajmiłem, ostrożnie rozglądając się na boki. – Słyszę dźwięki, których pochodzenia nie jestem w stanie zlokalizować. Nadal podejrzewam szok, choć jestem coraz bliższy stwierdzenia, że dzisiejszej nocy trochę się napracuję – powiedziałem, po czym wyłączyłem dyktafon, podwijając w międzyczasie rękawy. Płaszcz z guzikami w rękawach to idealne rozwiązanie na ciepłe wieczory, czyli zupełnie nie takie jak ten. Przydawał się jednak, kiedy trzeba było przejść do drugiej części mojej pracy.

Złączyłem ręce wyciągając je przed sobą. Wyglądałem zapewne jak samobójca kontemplujący kolekcję blizn na nadgarstkach. Podziwiałem przez chwilę kunszt człowieka, który mnie znienawidził, choć mnie nie poznał. Przyglądałem się dwóm rzędom misternych tatuaży, stanowiących istotną część mojej roboty.

Każdy w innym języku.

Hebrajski, łaciński, indyjski, języki ludzi i potworów.

Pokrywały moje ciało od szyi do linii bioder.

Było ich sto pięćdziesiąt trzy.

Liczyłem.

To się zdarzyło tego samego dnia, w którym odbyłem najdziwniejszą spowiedź swojego życia. Jeśli dobrze pamiętasz, dostałem wtedy adres i pieniądze. Ładną sumkę, w ładnej walucie. Miałem dwa wyjścia. Mogłem albo zatrzymać pieniądze i uznać, że wygrałem w jakiejś parafialnej loterii, albo pójść pod podany adres. Zgadnij co wybrałem? Tak, też uważam, że wybrałem niewłaściwie. Za tę kasę mogłem kupić sobie niezły samochód, telewizor i starczyłoby jeszcze na drobne głupoty. Jednak trzeba najwyraźniej czegoś więcej, by zamknąć usta mojej ciekawości, bo niecałe pół godziny później błądziłem po mieście, szukając adresu z kartki.

Szukałem go ponad godzinę. Nie była to jakaś tajemna lokacja, ukryty klub, ani wejście do Narnii przez szafę. Po prostu jestem idiotą jeśli chodzi o orientację w terenie, a męska duma nie pozwoliła mi spytać kogokolwiek o drogę. Doprawdy, Męska Duma i Ciekawości, jeśli to czytacie, to kij wam w oko! Znalazłem wreszcie właściwy budynek. A jak! Mniejsza z tym, że było to wejście na zaplecze do salonu tatuażu, który znajdował się niecałe dwieście metrów od mojego domu. Ważne, że znalazłem.

Uradowany ponad miarę zadzwoniłem do drzwi, licząc na to, że przywita mnie szampan, brawa albo uścisk dłoni prezydenta. Ewentualnie zadowoliliby mnie wtedy wyjaśnienie dwóch kwestii: *co ja tu robię i po cholerę tutaj przyszedłem*. Otworzył mi człowiek, który zdecydowanie wyglądał na właściciela salonu tatuażu i przypominał z wyglądu swoje własne portfolio. Swastyka wydziergana na jego prawym policzku zniechęcała mnie nieco do podjęcia konwersacji. Przekonał mnie dopiero jego szczerzy, pozbawiony górnej dwójki uśmiech. Odwzajemniłem ten grymas, jak ostatni kretyn

pokazując mu kartkę oraz czek. Zmierzył mnie wzrokiem, zrobił minę jakby miał zaraz brać się do rzeźbienia w gównie, po czym ustąpił mi miejsca i zaprosił do środka. Zastanawiałem się później dlaczego już wtedy nie uciekłem. Wydaje mi się po prostu, że gdy człowiek ze swastyką na twarzy grzecznie zaprasza cię do siebie, to raczej niemądrze jest mu odmówić.

Nie zdążyłem nawet dobrze przestąpić przez próg, gdy dwóch jego bardzo szerokich *przyjaciół* wyrwało mi czek i kartkę oraz zaprowadziło na krzesło. Mebel ten był nadzwyczaj elegancki, choć nosił ślady używania, zaś przypięte do niego pasy unieruchamiające nogi i nadgarstki pięknie komponowały się z oklejonym heavymetalowymi plakatami wnętrzem. Charczącym głosem wydusiłem swój podziw dla kunsztu zespołu *Megadeath*, nim zostałem usadzony. Następnie dwóch *szerochich* w asyście *człowieka ze swastyką* zaczęło mnie zapinać w owe krzesło, wesoło pogwizdując *always look on the bright side of life*.

Przerażony do granicy wypełnienia portek, zacząłem się po cichu żegnać ze swoimi nerkami i innymi częściami ciała, które mogłyby się przydać komuś na czarnym rynku. Wtem *człowiek ze swastyką* gestem obu dłoni wyprosił swoich kolegów i zamknął drzwi. Następnie zasłonił nieliczne okna w pomieszczeniu i podsunął bliżej metalowy stolik na kółkach. Zamarłem, słysząc metaliczny brzęk narzędzi. Zacząłem robić to, co na prawdziwego faceta przystało... darłem się w niebogłosy i rzucałem we wszystkie strony, próbując wyszarpać się z więzów. *Człowiek ze swastyką* spojrział na mnie fachowo, podrapał się w brodę, po czym poprosił swoich dwóch, rośtych kolegów, aby wrócili z powrotem. Wstępnie przygotowani, przyszli z cienką linką i kneblem w rękach.

Opatulili mnie ciasno jak baleron, upewnili się, że nie będę krzyczał i wyszli bez słowa. Ja zaś zostałem sam na sam z utalentowanym człowiekiem o wątpliwej przeszłości i miną jakby miał zaraz zasiać do sekcji zwłok.

Chyba na chwilę zemdlałem, gdy sięgał do metalowego pojemniczka z narzędziami.

Niewiele pamiętam z następnych kilku godzin. Nie wiem, czy coś mi dosypali do drinka, którego nie dostałem, czy może był to wynik szoku. Obudziłem się w nocy, oparty plecami o ścianę dworca autobusowego. Całe ciało paliło mnie żywym ogniem i nigdzie nie mogłem znaleźć swojej koszuli. Przez dłuższy czas szwendałem się po nieznanej mi części miasta, wypytując ludzi o drogę. Nie wiedziałem tylko dlaczego wszyscy mnie unikali jakbym był trędowaty. Nad ranem dotarłem do swojego mieszkania. Zmęczony, obolały, zdezorientowany. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem.

Sto pięćdziesiąt trzy zakrwawione tatuaże.

Każdy w innym języku.

Większości z nich nie używa już żaden człowiek na ziemi.

Otrząsnąłem się z nieprzyjemnych wspomnień. Rany po tatuażach goiły się jeszcze przez ponad tydzień. Przez cały ten czas leżałem w łóżku, trzęsąc się w gorączce i mamrocząc do siebie i nawiedzających mnie omamów. Po tym wszystkim na niektórych ranach powstały malownicze blizny. Zupełnie jak na mojej psychice. Złapałem za dyktafon.

- Wracam do rutynowych czynności, przygotowuję się na ewentualne starcie z manifestacją. Nie mam danych na temat jej ewentualnego pochodzenia lub charakteru – powiedziałem. Fakt, że brzmiałem tak niezwykle profesjonalnie wymalował na

mojej twarzy szeroki uśmiech. *Jakiż to ja jestem opanowany i nie do zdarcia* – pomyślałem, by chwilę po tym, trzęsącymi się dłońmi, otwierać następne drzwi.

Spodziewałem się naprawdę wszystkiego. Wrót do piekła, wyszczerzonego demona, dzikich psów, czy świadków Jehowy. Jednak w takim miejscu zostać zaatakowanym przez zwykłą miotłę? To już uwłaczało nawet mojej godności. Gdy tylko otworzyłem drzwi, zakurzony przedmiot z drewnianym trzonkiem przewrócił się na mnie. Dostałem po głowie, zostałem oblepiony płataniną pajęczyn i niemal dostałem zawału w pakiecie. Brakowało tylko puszczonego z taśmy śmiechu i poczułbym się jak rasowy aktor sitcomu.

Otrzeptałem płaszczyz, wzbudzając przy tym tabuny kurzu i zniechęcony rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na metr szeroki i metr głęboki schowek na szczotki, z którego ktoś sobie zrobił niewielką spiżarnię. Nie wiem, czy trzymanie na jednej półce słoiczka z dżemem i trutki na szczury było akceptowalne przez sanepid, ale osobie, która tu mieszkała na pewno to nie przeszkadzało. Wkopałem więc miotłę z powrotem do środka i zamknąłem drzwi. Nie miałem tam nic do roboty. No, chyba że naszłaby mnie ochota na wyegzorcyzmowanie wszystkich wiśni z wiekowego kompotu.

Zostały ostatnie drzwi. Chciałem zakasać rękawy ale zapomniałem, że już przed chwilą to zrobiłem.

Wstrzymać oddech.

Pamiętać o procedurach.

Nie dać się zabić.

Żeby jeszcze to wszystko było takie proste...

Uchyliłem ostrożnie drzwi do ostatniego pokoju. Przywitały mnie naklejone na szafie plakaty. Każdy

przedstawiał grupkę młodych mężczyzn ustawionych w niby to artystycznej i ekspresywnej pozie. Każdy plakat w ciemnych kolorach, każdy opatrzone logo grupy i połowa z nich ściągała stylistykę z Queen. Wszedłem do pomieszczenia, które w całej swej krasie można nazwać *świątynią zbuntowanej nastolatki*. Pośród licznych, mocno zużytych pluszaków były także takie atrybuty każdej grzecznej dziewczynki jak zapalniczka, kastet i dwa noże sprężynowe. Wszystkie nowe, błyszczące i najwyraźniej używane tylko do dłubania pod paznokciami.

Widać było, że ona próbowała walczyć.

Na ziemi leżał jeden z noży, noszący wyraźne ślady krwi. Ciało dziewczyny ułożone było pod jedną z szaf. Wyprężona i wpatrzona przed siebie pustymi oczami. Zapewne otrzymała kilka ciosów w plecy, nim młody kręgosłup poddał się pod ciężarem młotka. W jednej z dłoni ścisnęła nogę od stojącego przed nią krzesła. Jakby próbowała się podciągnąć, być może użyć go jako tarczy. Włączyłem swojego bezdusznego słuchacza, sapiąc mu z trudem słowa prosto w mikrofon.

- Znalazłem ciało drugiej córki. Wiek około czternastu lat. Zasinienia na rękach i ślady krwi świadczą o tym, że stawiała opór. Nie jestem jednak w stanie stwierdzić, czy to jeszcze bardziej rozwścieczyło napastnika. Wygląda to tak jakby zabił ją... - przerwałem na chwilę, szukając lepszych słów. Nie znalazłem. – Jakby zabił ją od niechcenia.

Oparłem się o ścianę. Wyłączyłem dyktafon i wziąłem kilka głębszych wdechów, chłonąc zapach perfum, kadzidełka i kiepsko zakamuflowanej marihuany. Aromat ten przypomnieli mi, że nie przyszedłem tutaj mimo wszystko sam i mam ze sobą dwóch wiernych przyjaciół. Pan Nikotyna i pani Gorzałka zawsze byli ze mną. Na picie było jednak trochę za wcześnie.

Odpaliłem papierosa, rozkoszując się przyziemną głupotą wciągania w płuca gorzkiego dymu. Przez kilka minut celowałem dymnymi kółkami w środek zawieszonego pod sufitem wentylatora. Stwierdziłem w końcu, że jeśli znalazłbym tu jakąś skrzętnie schowaną paczkę trawki, to z całą pewnością bym nią nie pogardził. Jednak, żeby do tego doszło, musiałem nieco ogarnąć to wszystko. Najlepiej zaczynając od pani domu, ułożonej na dole w wiecznym odpoczynku. Zagasiłem peta o swoją paczkę i wrzuciłem do niej niedopałek. Nie jestem przecież w jakiejś melinie, żeby rzucać takie rzeczy gdzie popadnie. Być może później, w pokoju starszej córki, trafię na jakąś popielniczkę. Popiół z podłogi też wtedy zgarnę.

Pochyliłem się nad dziewczyną, odgarniając włosy opadające jej na czoło.

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Requiescat in pace. Amen. – wyszeptałem, naznaczając jej czoło znakiem krzyża. Wyszedłem, przezornie zamykając za sobą drzwi. Nawet martwej nastolatce lepiej nie podpadać.

Zszedłem ze schodów nieco spokojniej, niż mógłbym się tego po sobie spodziewać. Pani domu leżała tam, gdzie ją zostawiłem, wciąż spoglądając chyłkiem na ścianę. Odetchnąłem z ulgą. Zapewne trochę bym się zaniepokoił, gdybym zobaczył ją czekającą na mnie u dołu schodów z tasakiem w ręce. Tym bardziej, że dałbym sobie rękę uciąć, że była martwa.

Załamany lekko ironią tego stwierdzenia, zacząłem wypakowywać z walizki najpotrzebniejsze rzeczy. Gąbka, jakaś ścierka się też przyda, być może na początek jakaś lżejsza chemia. Miałem nadzieję, że woda z mydłem wystarczy, by ogarnąć ten dom i zwrócić go praworządnym obywatelom.

Czyli takim, którzy nie zatłuką całej swojej rodziny młotkiem parę dni po pogrzebie własnego ojca. Ewentualnie takim, którym się to zdarza niezwykle rzadko. Zerknąłem jeszcze raz w walizkę i naręcze przedmiotów, które z niej zabrałem. Usatysfakcjonowany swoim przygotowaniem udałem się w stronę łazienki na piętrze. Cóż, lata doświadczenia nauczyły mnie, że w każdym domu znajdzie się przynajmniej jedno wiadro, więc nie warto go ciągle nosić ze sobą.

Ten dom jednak był wyjątkiem.

Po dość długich, desperackich poszukiwaniach znalazłem w końcu odpowiednio dużą miskę. Wprawdzie na jej boku widniały wesołe kucyki w pastelowych kolorach, jednak w żaden sposób nie powinno to wpłynąć na komfort mojej pracy. Najwyżej nadawało całej sytuacji dodatkowego posmaku absurdu. Z miską gorącej wody, mydłem i gąbką w dłoni przykleknąłem obok pani domu.

- Pani wybacz – powiedziałem, delikatnie odklejając jej twarz od obryzganey ściany. Jej głowa opadła i teraz, pustym spojrzeniem, obdarowywała przestrzeń gdzieś nad moim prawym ramieniem. Zacząłem powoli i możliwie jak najdokładniej ścierać ze ściany krew wraz z innymi wydzielinami. Od zewnętrznych krawędzi, do środka... Należy zbierać, a nie rozcierać po całej ścianie. Skupiłem się na odgłosach monotonnego szorowania. Zamarłem nagle, maczając gąbkę w zaróżowionej już od krwi wodzie. Poczułem jej obecność zanim zdążyła się odezwać.

- Co pan robi mojej mamusi? – spytała, a mną wstrząsnął zimny dreszcz. Odwróciłem się powoli, by zobaczyć niską blondyneczkę o pucołowatej twarzy. Młodszą córkę, którą uznałem za martwą wraz z biegłymi, technikami, oraz całym

zastępem policji. Stała u podnóża schodów, przyciskając jedną rączką do piersi pluszowego królika. W drugiej trzymała krótkie, ostre nożyczki do paznokci. Zająknąłem się, w niezbyt artykułowany sposób szukając słów wyjaśnienia i zastanawiając się jakim cudem nikt nie zauważył, że młodsza z córek jeszcze żyje?

Podniosłem się i chwyciłem za telefon, żeby wezwać karetkę, gdy wtem coś mnie tknęło. Nie fizycznie rzecz jasna. Coś mi nie pasowało w zachowaniu i postawie dziewczynki. Miała albo niebagatelną wadę kręgosłupa, albo królik, którego niosła był niezwykle ciężki. Część jej ciała, od początku żeber w górę, zdawała się lekko przechylać na lewą stronę, chybocząc się przy tym lekko. Do tego jej żebra. Coś było bardzo nie tak z tymi żebrami.

- Boję się – powiedziała dziewczynka, wyciągając do mnie małe, posiniaczone rączki. Pluszak wypadł jej z rąk i miękko opadł na drewnianą podłogę.

- Już idę kochanie – powiedziałem, wyciągając z paczki kolejnego papierosa. Podeszedłem krok bliżej, odpalając go, po czym wydmuchnąłem dym w stronę jej twarzy. Wyglądałem przy tym pewnie jak ostatni cham. Jednak dym z mieszaniny tytoniu, szaławii i bzu ominął jej nozdrza. Jak miałby w ogóle do nich wlecieć, skoro nie oddychała? Zamiast tego błękitno-sine obłoczki zawirowały tuż za nią. Przez chwilę owiewały widmową postać tego, co kierowało dziewczynką jak kukłą. Istota postury człowieka, wyższa ode mnie o głowę. Ramiona tego czegoś kończyły się tam, gdzie zaczynały nadgarstki dziewczynki.

Była tylko pacynką.

Podniosłem dłonie ukazując tatuaże.

- Nazywam się Damien Frost! – Zacząłem, podchodząc nieco bliżej. Tak jak mnie szkolono. – Przybywam z ramienia Gwardii Heretyków! Twoja obecność tutaj łamie postanowienia traktatu. Odejdź, albo zostaniesz spuryfikowany! – Oznajmiłem najdobitniej jak mogłem. Na dziewczynce nie zrobiło to żadnego wrażenia. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia po jaką cholerę mam za każdym razem powtarzać tę formułkę, skoro i tak nikt mnie nie słucha.

- Boję się – powtórzyła dziewczynka, wyciągając ręce w kierunku mojej szyi. Choć jej cichy, pluszowy wspólnik leżał już na podłodze, to nadal w prawej dłoni ścisnęła nożyczki. Uwierz mi, obejrzałem w życiu dość horrorów, żeby wiedzieć jak by się to skończyło, gdybym wziął małą na ręce.

- Boję się... - powtórzyła już nieco głębszym, lekko warczącym głosem. Po tym zdaniu jej dolna szczeka opadła i nie chciała się już podnieść.

- Boję się! – powtórzyła w pełni składne i pięknie wyartykułowane zdanie, nie zważając na to, że niedowład dolnej części twarzy fizycznie to uniemożliwiał.

- Załatwimy to po dobroci, czy po mojemu? – spytałem nieco znudzonym tonem, strząsając popiół na ziemię. Później go zmiotę.

- Boję... się... - mruknęła dziewczynka, przekrzywiając nieco głowę. Nie patrzyła już na mnie, tylko gdzieś obok mnie. Jakby szukała pocieszenia w rozsypanej pod stołem sałatce. Włożyłem ręce do kieszeni czując się nieco niezręcznie. Może nawet zlekceważony. Papieros zwisał mi na wargach, posyłając w sufit ścieżki gryzącego dymu, a ja właśnie wpadłem w głęboką zadumę nad sensem swojej pracy i egzystencji. Po co ja to robię? Całą tę robotę mógłby odwalić wyszkolony

szympans. Jasne, dobrze płacą i nie pracuję na godziny, choć nocna zmiana w tej robocie jest dwa razy bardziej do dupy niż w każdej innej, ale... kurwa... Stoję sobie w przedpokoju posesji, która mogłaby robić za odmalowany nawiedzony dom. Przede mną stoi martwa dziewczynka z przetrąconym odcinkiem piersiowym kręgosłupa i, śliniąc się na niedawno wypastowaną podłogę, zachęca mnie, żebym ją przytulił. Chciałbym wiedzieć jaki druczek trzeba pobrać z urzędu, żeby się wypisać z tego bajzlu. Wzięłem głęboki wdech przez nos. Potem następny, przez usta, wciągając do płuc tyle dymu, ile tylko dały radę udźwignąć.

Wstrzymać oddech.

Uspokoić myśli.

Zgiąć ramiona.

Mantra.

Wydech.

Mięśnie mojej klatki piersiowej wyprężyły się w ten szczególnie, ćwiczony miesiącami sposób. Wyrzuciłem głowę do przodu, jak najszerzej otwierając usta, skomląc przy tym mantry babilońskich przekleństw. Chmura dymu, gęsta jak londyńska, mgła owiała eteryczną postać kierującą ruchami i mową dziewczynki. Ukazał się jej każdy mięsień, włos i ścięgno. Pokryte tysiącami grubych żył ramiona, cienka, krótka szyja i szeroka głowa. Postać stała jednak niewzruszona, wpatrzona w dziewczynkę. Wyglądała jak lalkarz kalkulujący, który z dziesiątek sznureczków ma pociągnąć, by uzyskać zamierzony efekt. Nie cofnęła się nawet o krok.

Jak idiota stałem jeszcze przez kilka długich sekund z płucami obolałymi od zionięcia. Powinien był uciec. Zemdleć. Krzyczeć. Wić się. Ten dym. Dla większości upadłych i innych

niehumanalnych stworzeń śmierdzi jak zdechły na biegunkę skunks. Oczyszcza i ujawnia, a oni tego nie znoszą. Forma papierosów to już mój pomysł na podręczne kadzidło. Mam zamiar go opatentować, jakby ktoś pytał.

Wyprostowałem się zdziwiony, spoglądając raz na dziewczynkę, raz na jeszcze widoczną istotę. Nim dym zdążył się do końca rozwiać, zauważyłem, że to *coś* odrywa wzrok od niej i spogląda na mnie. Na czymś, co zapewne było jego twarzą, pojawił się grymas. W duchu poprosiłem Boga, żeby oznaczał on wesołość.

Tego dnia Bóg miał chyba wolne.

Ono wiedziało, że ja wiem i nie było z tego powodu zadowolone. Dym ulotnił się, zaś na twarzy małej pojawiły się dziesiątki ciemnych żył. Jakby nagle zamiast krwi w jej żyłach zaczął płynąć atrament. Przekrzywiła się jeszcze bardziej, zwieszając ręce po jednej stronie ciała. Trudno opisać pozycję, z której mi się przyglądała, ale jeśli ktoś może dotknąć pachę pleców, to albo ma problem, albo jest rosyjską gimnastyczką. Usłyszałem głucho chrupnięcie kości i chrząstek, dobywające się gdzieś z jej wnętrza. Było bardziej przerażające, niż jej wygląd w tej chwili. Do tego stopnia, że wycofałem się, dopóki nie zawadziłem obcasem o nogę jej matki. Dziewczynka wrzasnęła i ruszyła w moim kierunku, wymachując nożyczkami jak opętana.

Znaczy, zdecydowanie była opętana!

Niewiele myśląc, i nie dysponując żadnym planem, kopnąłem w jej stronę miskę z mydlinami. Nie trafiłem. Na moje szczęście bieganie z nożyczkami po śliskiej podłodze zawsze źle się kończy. Po postawieniu trzech kroków w niechlujnie naciągniętych rajstopkach, dziewczynka

z łoskotem runęła na ziemię, lądując twarzą w ostrzu. Znieruchomiła.

Ominiąłem ją ostrożnie.

Jakby nie patrzeć, była martwa już przedtem.

Ponieważ byłem pewny, że nie da się nikogo zabić dwa razy, postanowiłem jak najszybciej dotrzeć do walizki. Mój plan obejmował zabunkrowanie się w którymś z pokoiów i obmyślenie bardziej finezyjnej strategii ataku, niż wylewanie pomyj pod nogi.

Zgarnąłem w pośpiechu swój *szluzowy neseser*. Niezręcznie wysypując przy tym zawartość na podłogę. Mniejsza z tym. Chyba, że przyjdzie mi do głowy bronić się szczotką drucianą. Odwróciłem się na pięcie z zamiarem wskoczenia na drugie piętro susami po trzy stopnie. Zanim jednak zdążyłem się choćby do nich zbliżyć, dziewczynka poderwała się na równe nogi, jakby jej animator podciągnął ją za sznurki do góry. Z policzka pod prawym okiem wystawały na sztorc wbite nożyczki. Nie było ani kropli krwi.

Wiesz, martwi z zasady nie krwawią.

Zmiana planów więc - pomyślałem. Zawiedziony i mocno zniesmaczony widokiem, wbiegłem do kuchni. Bezceremonialnie trzasnąłem za sobą drzwiami i wycofałem się za blat. Ładnie to brzmi - *wycofałem*. Tak naprawdę próbowałem go przeskoczyć, przerzucając nad nim walizkę, jednak zaczepiłem czubkiem buta o krawędź. Gdy już rąbnąłem głową w podłogę i pobieżnie sprawdziłem ilość kurzu pod szafkami, postanowiłem podnieść się na kolana. Słyszałem jak dziewczynka niespiesznie idzie w stronę drzwi. W ten szczególny, upiorny sposób, w który uwielbiają to robić wszyscy nieumarli. Nie wiem czemu tak robią. Ona mogła się

wytłumaczyć, że ją łupie w przetrąconym krzyżu. Innym, taki styl chodzenia najwyraźniej sprawiał frajdę.

Gdy szuranie stopami i ciche szlochanie w końcu umilkło, nadszedł czas na oklepanie kilku tanich chwytów z horrorów klasy B. Najpierw było ciche pukanie do drzwi, potem mała, zimna rączka zaczęła naciskać na klamkę. Na to byłem już przygotowany. Wyciągnąłem z kieszeni różaniec i zarzuciłem go na klamkę. Ta, zaś nagle odskoczyła, zupełnie jakby osoba stojąca za drzwiami gwałtownie się rozmyśliła. Oczywiście, z moim szczęściem można by się spodziewać, że rzucając poświęconym sznurkiem przez pół kuchni, połamię sobie obie nogi i stanę na grabie. Jednak w grze w rzutki i podkowę nie mam sobie równych. Też raczej nie zdarzają się idioci, którzy trzymają grabie walające się w kuchni.

Odetchnąłem głęboko i oparłem plecami o kontuar. Z przodu głowa mnie bolała od uderzenia. Z tyłu bolała ze strachu albo po to, by przód nie czuł się odosobniony. Zdarłem sobie sporą część koszuli i skóry na brzuchu moim nieudanym wślizgiem. Na pozór pusta walizka leżała wybebeszona w kącie. Na domiar złego, gdzieś tam za drzwiami czaiła się na mnie zwariowana, opętana dziewczynka. Zapewne teraz usilnie próbowała wyciągnąć sobie nożyczki spod oka. Gdybym miał opisać swoją sytuację w dwóch słowach, powiedziałbym – *całkiem nieźle*. Nie, żeby to było moje najprzyjemniejsze zlecenie, ale nie musiałbym daleko sięgać pamięcią by odszukać o wiele gorsze dni w swojej karierze.

Wyrafinowanym ruchem pięty przyciągnąłem do siebie walizkę. Czując, że mam chwilę przerwy, nie omieszkalem też sięgnąć do kieszeni płaszcza, gdzie spoczywała wierna piersiówka. Przez ułamek sekundy rozmyślałem nad tym, czy

nie warto odkazić otarć na brzuchu. Równie szybko postanowiłem, że odkazanie od środka też się liczy i pociągnąłem haust wody ognistej. Za moimi plecami, i dzięki Bogu za drzwiami, trwał niewielki harmider. Dziewczynka, zapewne znudzona zabawą z wujkiem Frostem, postanowiła pobawić się lalkami, albo uknuć jakiś plan zagłady całego świata. Póki nie miała zamiaru wpaść tu z piłą spalinową, było mi zdecydowanie wszystko jedno. Odpaliłem kolejnego papierosa i czując się już mniej więcej odprężonym, zacząłem puszczać w podłogę kółka z dymu. Jednocześnie, gdy moje ciało zapadało w letarg, mój mózg, wolny od zajmowania się tak skomplikowanymi czynnościami jak trzymanie wyprostowanej pozycji, zaczął pracować. Nurtowało mnie kilka kwestii. Czemu szalwia nie zadziałała na małą? Czemu akurat ona wstała z martwych, gdy cała reszta leżała sobie spokojnie? Kto u licha używa zielonej fugi to kafli w lawendowe wzory? Czy dziadek, który tu mieszkał był daltonistą, czy po prostu nie miał gustu?

Siedziałem tak w rozkroku jak meksykanin na sjeście. Powoli dochodziłem do poważniejszych życiowych problemów jak na przykład *dlatego duży palec prawej stopy jest po lewej stronie?* Niestety moje rozważania na temat natury wszechświata przerwał przytłumiony odgłos otwieranych drzwi. Wiedziony bardziej odruchem, niż zdrowym rozsądkiem, rzuciłem się przed siebie i przeturlałem obok walizki pod przeciwległą ścianę. Nie zdążyłem nawet do końca załapać co zrobiłem i jak mi się to udało, gdy zobaczyłem dlaczego moje ciało tak zareagowało. Spojrzałem dokładniej w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się moja głowa, a z którego aktualnie sterczał wbity po rękojeść nóż. Nieco

wyżej, już na blacie, kuciała z szerokim uśmiechem dziewczynka, w bladej rączce trzymając drugie ostrze. Myślałem, że dała mi spokój, a ta mała poszła się dozbroić! Przekrzywiła głowę w ten sposób, w jaki robią to te słodkie pieski na zdjęciach w Internecie. Z tą różnicą, że jej to wyszło raczej upiornie. W szczególności *uroku* dodawała jej obwisła dolna szczeka i kawał mięsa wyrwany spod oka. Nie zdążyłem nawet krzyknąć *Jezus Maria*, gdy ta, z niehumanicznym wrzaskiem rzuciła się do przodu.

Mając jeszcze nieprzełkniętą wódkę w ustach i zapalniczkę na podorędziu, postanowiłem artystycznie zniechęcić swoją prześladowczynię. Wystawiłem nogę, zatrzymując dziewczynkę w połowie lotu swoim butem. Po czym plunąłem jej w twarz gorzałą tuż nad płomieniem zapalniczki. Efekt był piorunujący i wręcz hollywoodzki. Kula ognia omiotła dziewczynkę, podpalając jej włosy i przysmażając moją nogawkę. Następnie strąciłem ją z buta w stronę kontuaru, z którego miała uprzejmość przed chwilą na mnie wyskoczyć. Odbiła się od niego i padła na ziemię, miotając się w czymś, co ciężko by było nazwać zwykłymi konwulsjami. Przypominała raczej zabawkę, której ktoś źle włożył baterię, lub człowieka notorycznie tracącego przytomność. Machała nożem, wyprowadzając tylko pół ciosu, by chwilę po tym dać mu bezwładnie opaść. Nogami i drugą ręką próbowała się podnieść, jednak za każdym razem, gdy zaczynała, nagle opadała z powrotem. Powtarzała te czynności kilkakrotnie, spoglądając na mnie w przypływie sił i w suficie w trakcie ich odpływu. Z każdym jej ruchem rozpościerała wokół siebie smród spalenizny wraz z dymem z tlących się

jeszcze włosów. Już wiedziałem czemu ze wszystkich domowników, zaatakowała mnie właśnie ona.

Pominałem ją.

Sięgnąłem do walizki.

Nie wiedziałem ile mam czasu zanim mała wróci do siebie, a raczej zanim to coś wróci do niej i odzyska nad nią kontrolę. Odpiąłem niewielki, błyszczący zamek, odsłaniając drugie dno walizy. Pośród kilku narzędzi i specyfików główną kieszeń zajmowała książka. Biblia heretyków, *Księga bez tytułu*, almanach egzorcystów z przypadku. Nie była to zredagowana powieść, ani podręcznik. Raczej skórzany segregator, w którym spoczywały kopie zapisków wszystkich pokoleń heretyków. Niektóre sięgały roku tysiąc dwieście trzydziestego pierwszego, inne były zapewne starsze niż cywilizacja. Wszystko tłumaczone na przystępne języki, z zachowaniem oryginalnego stylu zeszytu z przepisami twojej babci. Nie potrzebowałem jej jednak. Znałem na pamięć *procedure*.

Obskoczyłem kontuar, by sięgnąć po wciąż dyndający na kłamce różaniec. Położyłem walizkę na wolnym kawałku blatu obok dziewczynki, upewniając się, że wszystko będę miał pod ręką. Owinąłem różaniec wokół prawej dłoni, po czym przycisnąłem palce do rozpalonego czoła małej. Nie miała gorączki, po prostu jeszcze się tliła.

- In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti – zacząłem, kreśląc na jej czole znak krzyża. Myślisz że się wyrывała? A skąd! Zaczęła się wręcz uspokajać. Widziałem jak demon traci władzę nad jej martwym ciałem. Odmówiłem krótką modlitwę po łacinie. Następnie sięgnąłem do walizki po mizerykordię. Długi sztylet, z rzeźbionym w rękojeści aktem

męki Jezusa na krzyżu. Poświęcona przez kapłanów broń miała tylko jedno przeznaczenie, nieść umęczonym miłosierdzie poprzez spokój wieczny. Gdy dziewczynka zobaczyła sztylet, jej oczy otworzyły się szerzej. Potem znów straciła przytomność. Z jej ust wydobył się stłumiony warkot.

- Requiescat in pace – wyszeptałem jej do ucha, przebijając martwe serce. Wypuściła z siebie ostatni oddech, wraz z którym z jej płuc uleciały strużki sinego dymu. Zamarła i opadła bezsilna, wolna. Cofnąłem się, przecierając nerwowo twarz. To nigdy nie jest łatwe. Tym bardziej, że to nie był jeszcze koniec. Unieruchomiłem tylko pacynkę, *lalkarz* nadal tu był. Zabrałem z szafki jedną ze szklanek, wziąłem walizkę w drugą rękę i ruszyłem w stronę schodów. Sztylet zostawiłem w sercu małej. Uznałem, że tak będzie bezpieczniej.

W mojej głowie kotłowało się kilka pytań, a odpowiedzi na nie mogłem znaleźć tylko w jednym miejscu w tym domu – w łazience. Wszedłem do środka, odstawiłem walizkę i otworzyłem szeroko okno. On nie przyjdzie tak po prostu. Trzeba będzie go przekupić. Zdjąłem płaszcz i koszulę, rzucając je nieopatrnie do wanny. Trudno, będą musiały tak chwilę poleżeć. Otworzyłem szeroko walizkę i wyciągnąłem pierwszy przedmiot niezbędny do uzyskania odpowiedzi – puszkę tuńczyka. Otworzyłem ją i postawiłem na oknie. Pomimo przeciągu, smród ryby w kilka sekund wypełnił pomieszczenie. Szczerze mówiąc, dopiero od tego zapachu zrobiło mi się naprawdę niedobrze. Zwymiotowałbym, gdybym się nie śpieszył.

Stałem przed lustrem, na umywalce postawiłem dwie świece. Obok nich szklankę z kuchni, którą wypełniłem wodą. Przetarłem lustro i westchnąłem cicho. Nie miałem ochoty tego

robić. Jednak nie wyjdę stąd dopóki nie skończę roboty. Żeby ją skończyć, muszę pogadać z Nim.

Zgasilem światło.

Zapaliłem prawą świecę.

Wychyliłem się przez okno, jak idiota wołając *kici kici*.

Nienawidzę kotów.

Stałem twarzą do lustra, cierpliwie się w nie wpatrując. Wyglądało to zapewne tak, jakbym wyzwał własne odbicie do zabawy w *kto pierwszy mrugnie*. Kiedyś tak robiłem. Raz nawet udało mi się wygrać.

Nie minęło dużo czasu jak do środka, przez okno, wychylił się mały, kudłaty łeb. Zastrzygł uszami, spojrzał w moją stronę parką zielonych oczu, po czym jak gdyby nigdy nic zajął się jedzeniem. Namoczyłem dłonie w wodzie i przetrąłem nimi lustro, rozmazując odbity obraz. Zacząłem mówić.

- Arrah seva nka'h arou – powiedziałem. Powoli i spokojnie, cedząc każdą literę tak, by brzmiała wyraźnie, wręcz soczyście. Kot zjeżył się i syknął na mnie, po czym zeskoczył na podłogę. Na rozedrganych łapach przypelzł na środek pokoju. Ja zaś, nie odrywając od niego wzroku, sięgnąłem do walizki po jeszcze jeden artefakt. Przesunąłem palcami po kościanej, alabastrowo białej powierzchni. Wbiłem wskazujący i serdeczny palec w niewielkie zęby. Tak, by poleciała krew. Kocia czaszka była niezbędna. Bez niej nie mógłbym nad nim zapanować.

- Serh'ana ehotep Is'am'el – powiedziałem. Tak samo jak poprzednio. Do pomieszczenia wpadł podmuch zimnego wiatru, gasząc płomień. Wyciągnąłem wolną dłoń nad dymiący knot. Stałem w bezruchu, ściskając czaszkę z całych sił, kapiąc

własną krwią na drugą ze świec. W bladym świetle ulicy wpadającym przez okno, zobaczyłem rosnący za mną cień. Przybrał wyprostowaną posturę, wygiął się do tyłu, jakby chciał rozprostować obolały krzyż, po czym zbliżył się do mnie. Czulem śmierdzący rybą oddech na policzku.

- Czego chcesz? – spytał, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Przyjdź i zobacz – odpowiedziałem.

Obie świece zapaliły się. Nie buchnęły płomieniem, jak to jest zwykle w horrorach, tylko spokojnie rozpały na nowo. Płomień lewej obmywał mi palce. Był zimny jak śnieg. Płomień prawej ugiął się pod kroplami skapującej na niego krwi. W niewyraźnym odbiciu zobaczyłem swojego kuratora. Kogoś, kto pilnował, bym zawsze stawiał się w robocie na czas.

- Dobry wieczór, panie D – mruknął, odsuwając się.

- Witaj Is'am'elu – odpowiedziałem. – Podałbym ci rękę, jednak obie mam zajęte – nie spuszczałem go z oczu. W relacjach z istotami spoza naszej płaszczyzny rzeczywistości należy zachować cztery zasady:

Nigdy nie spuszczać z nich wzroku;

Nie modlić się do nic;

Nie prosić by przejęły twoje ciało;

I ostatnie – co sprawdziłem na własnej skórze – nigdy nie zapraszać do konkursu w picie. Nawet jeśli wygrasz, to ty będziesz miał rano kaca, nie on.

Poczułem, że gdzieś wewnątrz się uśmiecha. Nie widziałem jego twarzy. Zawsze zakrywała ją maska. Nie jakaś wybitna. Wyglądała jak stara, plastikowa maska kota, którą można kupić na co drugim karnawale. Miała jasny, różowy kolor, w kilku miejscach przysłonięty podłużnymi, ciemnymi smugami. Jej lewa, dolna część była ukruszona, zaś przez całą

jej długość przebiegało zygzakowate pęknięcie. Poniżej szyi wyglądał prawie jak normalny facet. Był nieco niższy ode mnie, ale zdecydowanie lepiej zbudowany. Też do linii bioder na jego ciele nie było ani jednego włosa. Poniżej sytuacja diametralnie się zmieniała. Zupełnie jakby nosił spodnie z niedźwiedziej skóry, choć wiedziałem, że nie nosił ubrania. Nie pytaj skąd... po prostu wiedziałem.

- Potrzebuję informacji Is... - powiedziałem spokojnie. Znałem go na tyle, by się go nie bać. Za pierwszym razem jak musiałem go wezwać, prawie narobiłem w gacie.

- Och, panie D... Starzeje się pan. Być może to czas najwyższy, aby udać się na spoczynek? – mruknął. Przysięgłbym, że gdzieś pomiędzy jednym słowem, a drugim usłyszałem cichy chichot. Ścisnąłem mocniej czaszkę. Krew z moich palców zalała płomień świecy. Is'am'el zadrżał, lekko opuszczając głowę. Spod jego maski popłynęła ciemnobrązowa ciecz, zaś pomieszczenie wypełniło się jękiem cierpienia połączonym z odgłosami niewysłowionej przyjemności. Zupełnie jakby odczuwanie czegoś tak przyziemnego jak zwykły ból, było dla niego szczytem marzeń.

- Oni mnie katują, panie D... - powiedział, dygocąc i szlochając. – Za każdym razem, gdy panu pomagam. Za każdym razem, gdy wracam. Znajdują mnie i biją. Umieram i rodzę się. Zdycham tylko po to, by zaczerpnąć powietrza.

- Sam jesteś sobie winien – odparłem. – Wiesz, że musisz odpracować to, co zrobiłeś.

- Wiem, panie D... - wyprostował się. Przeciągnął brudnymi palcami po masce, zostawiając na niej kolejne ślady. Ciemnobrązowa ciecz zastygła na jego piersiach.

- Mów więc z czym mam tu do czynienia.

- Zapewne z jakimś wypadkiem przy pracy, panie D – wyszeptał. Ponownie ścisnąłem czaszkę, zadając jemu i sobie dodatkową porcję bólu.

- To nie jest wypadek przy pracy! – odparłem. - Cała sytuacja mocno mnie zmęczyła i nie mam ochoty na zabawę w zgadywanki z demonem w kretańskiej masce.

Nagle doskoczył do mnie i warcząc chwycił mnie od tyłu za gardło. Czułem jego dłoń na krtani, widziałem jego mokre od potu i brudu ramię w lustrze. Gdybym się jednak odwrócił, nie zobaczyłbym niczego. Chwilę później to *Nic* zapewne skrzyknąłby mi kark.

- No dalej – ponagliłem go. – Ściśnij, a ja będę miał urlop, zaś ty kolejne dziewięć pokoleń służby heretykom.

- Jest pan ósmym pokoleniem – szepnął mi do ucha. Wyczułem powalający smród ryby. – Nie powiem, że nie mam ochoty pana zabić. Powiem jednak, że pańska śmierć może być mi nie na rękę – powiedział, poluzniając uścisk. Przesunął dłoń na moje ramię.

- Jednak odpowiedź jest tak blisko pana, panie D, że aż dziwię się, że panu umyka.

Zmarszczyłem brwi. Zacząłem szukać błędów w swojej ocenie sytuacji. Choć Is'am'el nie był może najprzyjemniejszym gościem pod słońcem, to jednak wiedział zdecydowanie więcej o demonach i złych duchach niż ja. Można by powiedzieć, że dla Gwardii był *człowiekiem z wewnątrz*. Tajniakiem i kapusiem, chronionym przez *naszych ludzi*. Złapany dawno temu, na zabójstwie jednego z nas, musiał przysiąc swoją wierność kolejnym dziewięciu pokoleniom Heretyków. My, Gwardia Heretyków, trzymaliśmy jego i ponad setkę jego pobratymców za cokolwiek, co mieli w miejscu jaj.

- Widzę, że się pan zagubił. Skupmy się więc na tym, co wiemy – mruknął, poklepując mnie po karku. Chwilę po tym zachichotał cicho. Takie nagłe zmiany nastroju zdarzały mu się dość często. Czasami miałem wrażenie, że pod maską ukrywa się kilka twarzy na raz.

- Proszę opowiadać, panie D ...

- Tak, więc ... - zacząłem, czując się trochę jak dzieciak wywołany do odpowiedzi. Brakowało jeszcze, żebym zaczął się pocić i jękać. Czułem jego znudzony wzrok na swoim karku i, Bóg mi świadkiem, gdybym mógł to bym mu po prostu dał w twarz. Albo w co on tam ma zamiast twarzy.

- Wiem, że jest widoczny w dymie z *Salvia officinalis*, choć nie reaguje na niego tak, jak większość demonów. Nie działają na niego dewocjonała, choć nie jest w stanie kontrolować poświęconych ciał. Nie odpowiada też na wezwania, choć zdecydowanie ma inteligentny charakter...

- Błąd, panie D! – wykrzyczał mi wprost do ucha i przysiągłbym, że mnie przy tym opluł. Jeszcze kilka sekund dyszał mi nad małżowiną, gdy wreszcie górę wzięła jego miłsza i zapewne bardziej popieprzona osobowość.

- Fakt, że na pana spojrział, wcale nie znaczy, że jest inteligentny – powiedział już spokojnym, melodyjnym wręcz tonem. – Rośliny zwracają się do słońca, prawda? Czy jest w tym inteligencja, czy zwyczajnie natura je tak pouczyła? Poza tym, panie D... pomija pan starszego tego domu...

- A co ma do tego stary pryk? – spytałem, jednak zanim zdążyłem chociażby skończyć zdanie, to już wiedziałem co Is miał na myśli. Czułem się jak idiota. Jakbym próbował bez skutku ułożyć skomplikowaną układankę, a potem dopiero

zauważył, że układał nie ten obrazek co trzeba. Chwyciłem szklankę z wodą.

- Masz rację – powiedziałem. – A teraz wybaczyć, muszę zadzwonić.

Położyłem czaszkę na świecy, gasząc przy tym płomień. Druga zgasła niemal natychmiast, jakby nie chciała palić się samotnie. W ogarniającej nas ciemności Is'am'el jęknął i wygiął się do tyłu, charcząc jak zwierzę. Bezzwłocznie wylałem wodę ze szklanki na lustro i przetrąłem je dłonią. W zdeformowanych falach zalanej tafli widziałem jak jego cień się kurczy, pada na kolana i już na nich zostaje, by chwilę później przybrać niegroźną, kocia formę. Cóż o tyle niegroźną, o ile ktoś się nie boi pazurów.

Nienawidzę kotów.

Już wiesz dlaczego?

Wyczerpany usiadłem pod oknem. Dłoń pulsowała mi od bólu i byłem niemal pewny, że tym razem odmroziłem sobie palce. Nie patrz na mnie jak na idiotę. Mówiłem przecież, że płomień jest zimny, prawda? Na domiar złego, buri kocur, pod którego postacią przyszedł Is'am'el, zaczął się do mnie łąsić. Konkretniej ocierać o moje kolano. Normalnie pewnie bym go strząsnął i wyrzucił oknem, jednak dziś się spisał. Poza tym wymagało by to ode mnie nadludzkiego wysiłku wstania z podłogi. Chwyciłem za telefon i wykręciłem numer do komendanta. Po dwóch sygnałach odpowiedział mi mocno zachrypniętym głosem.

- Co jest?

- Jak przebiegł pogrzeb dziadunia? – spytałem.

- Co? – pomyliłem się. To nie była chrypa, tylko przeżarcie głosu alkoholem. Był tak wstawiony, że dziwię się czemu nie wyczułem jego oddechu przez telefon.

- Jestem nadal w tym domu – słyszałem jak poruszył się gwałtownie. Zapewne zerwał się właśnie z wersalki, gdzie spędzał czas śpiąc snem menela na pół etatu.

- Co ty tam jeszcze, kurwa robisz? – spytał znacznie trzeźwiej.

- Musisz mi powiedzieć, czy pogrzeb dziadka tej rodziny przebiegł bez zakłóceń – powiedziałem, ignorując jego pytanie. Nastąpiła chwila ciszy. Zbierał się w sobie, kojarzył fakty, albo uciał drzemkę. Czekałem.

- Nie było żadnych zakłóceń – odpowiedział w końcu, cedząc słowa poprzez beknięcie.

- To znaczy?

- No jak to co to znaczy? Wsadzili gościa do ziemi, popłakali i koniec!

- Byłeś na pogrzebie?

- No jasne, że byłem na pogrzebie! Albert Burrens był dość ważnym człowiekiem w tym mieście. Jakbyś od czasu do czasu zdjął rękę z przyrodzenia i sięgnął do gazety, to byś wiedział. – Nastąpiła chwila ciszy. Zastanawiałem się kim u licha był Albert Burrens. Skoro był taką lokalną osobistością, to czy rzeczywiście byłem aż tak wielkim ignorantem?

- Nie wiesz o kogo chodzi, prawda? – spytał komendant, pośrednio ratując mnie od zenujących pytań.

- Albert Burrens prowadził kiedyś firmę transportową – rozpoczął. - Zajmował się przewozem towaru na tereny Afryki, Azji i południowych Indii. Dzięki niemu i ogromnym podatkom z jego firmy to miasto wygląda teraz tak, jak wygląda.

- Znaczy zapchana dziura bez porządnej rozrywki w sobotni wieczór, to jego sprawa? – spytałem. Jak zwykle usta działały szybciej niż mózg i zdrowy rozsądek.

- Możesz się śmiać, ale gdyby nie on, to nadal szedłbyś srać za stodołę – na chwilę zawiesił głos. Czulem w kościach, że ma na końcu języka kilka nieprzyjemnych pytań.

- Znalazłeś coś? – rzucił w końcu z tak dużą dozą niechęci, że miałem wrażenie, iż ktoś go wręcz do tego zmusza.

- Być może... Powiedz, sąsiedzi na coś się skarżyli? Udało się ustalić co się stało? – zacząłem nerwowo skubać ucho. W tej robocie każdy się w końcu nabawia kilku tików. Miałem ochotę pociągnąć z piersiówki, ale większość jej zawartości wypłułem tamtej małej w twarz. Poza tym przed chwilą wyśmiałem pod nosem komendanta policji za picie na służbie, więc rozumiesz. Nie wypadało.

- Jak to kurwa być może?! – wypłuł mi płuca do ucha. Aż mnie zęby zaboląły.

- Jak to się wszystko zaczęło? – spytałem ponownie, ignorując go. Nie robiłem tego dlatego, że był pijany, ani dlatego, że krzyczał. Po prostu nigdy go nie lubiłem.

- Ech... przyjechali na pogrzeb, posiedzieli kilka dni. Potem przy kolacji facetowi odbiło i zaczął napieprzać wszystkich młotkiem. Uspokoił się dopiero w radiowozie – odpowiedział w końcu. Stwierdziłem, nie po raz pierwszy, że kompletnie by się nie nadawał na rzecznika prasowego.

- Co robił przedtem?

- Co? – komendant wyraźnie odpływał z powrotem ku krainie snu i zapomnienia. Ewentualnie znów w jego krwi było więcej alkoholu niż adrenaliny albo samej krwi nawet.

- Co się dokładnie działo tuż przed atakiem?! – powtórzyłem głośniej, żeby go obudzić.

- Nie wiem, co ja jestem wróżka? Ten gość był ledwie przytomny jak go zbieraliśmy. Nie mówiąc już, że jak się uspokoił to zaczął bredzić od rzeczy. Podobno coś przestawiał w piwnicy. Pewnie sprzątał graty po starym przyku.

Chyba zamarłem. Nie jestem pewny. Z całą pewnością stan, w którym się znalazłem był na tyle poważny, że się nieświadomie rozłączyłem. Słyszałem jeszcze jak przez sen zapijaczzone *Halo?! mamrotane* gdzieś po drugiej stronie niewidzialnej linii telefonicznej. Puściłem zaczerwienione ucho i złapałem się za głowę. Piwnica. Małe drzwiczki pod schodami, które tak skrzątnie pominąłem.

Cholera!

Podniosłem się i wyszedłem na korytarz, zostawiając walizkę tak jak leżała, z cichą nadzieją, że już mi się dzisiaj nie przyda. *Sprzątał graty w piwnicy ... potem poszedł zabijać* – chodziło mi to po głowie jak wojska radzieckie w czasie drugiej wojny. W tą i z powrotem, w tą i z powrotem. Nie mogłem wyzbyć się tej myśli, nie mogłem nawet przestać powtarzać tych słów, póki nie znalazłem się ponownie na parterze. Stałem przed małymi drzwiczkami, które wyglądały tak podejrzanie, że wręcz nieistotnie. *Schówek na zwłoki* – nazwałem je wcześniej w myślach. Teraz modliłem się, żeby mój głupi żarcik nie okazał się przebłyskiem intuicji, czy innej nadnaturalnej cholery.

Chwyciłem za ledwie widoczną klamkę.

Drzwi otworzyły się do środka.

Wstrzymać oddech.

Zapalić światło.

Gdziekolwiek jest ten cholerny włącznik!

Kilka dramatycznych chwil upłynęło na poszukiwaniach. W końcu rozjarzyła się goła żarówka. Wisiała nad czymś, co można by określić jako schody do piekła, albo zejście do piwnicy babci Halinki. Rząd drewnianych schodków straszył dziurami po kornikach i łuszczącą się grubymi płatami farbą. Przełknąłem ślinę, czując jednocześnie jak paradoksalnie robi mi się sucho w ustach. Schodki kończyły się gdzieś w półmroku poniżej mnie, przecinanym przebłyskami palącej się poniżej jarzeniówki. Przez mój *nie-do-końca-normalny* umysł przeszła myśl, że gdybym był psychopatycznym mordercą, to była by wymarzona piwnica do rytualnego ćwiartowania dziwek. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że wolałbym już być psychopatycznym mordercą niż sobą. Po następnej, że równie dobrze lepiej by było być tą mordowaną dziwką. Ona przynajmniej wiedziałaby co ją zabiło. Po tym stwierdzeniu przestałem drażnić temat. Zacząłem schodzić na dół.

Po pierwsze owiał mnie chłód, co w takiej piwnicy jest raczej normalne. Po drugie w powietrzu od razu zaczęły się unosić tumany duszącego kurzu, co też nie odbiega od normy. Po trzecie tutaj zapach ludzkiej tkanki i wydzielin był mocniejszy, co już raczej nie należało do wyposażenia przeciętnej ziemianki.

Lekko rozedrgany wszedłem na pierwszy stopień. Nic się nie zawaliło, nikt mnie nie zepchnął ze schodów, nic nie wybuchło, tak więc początek był raczej żenująco nudny. Mimo wszystko szedłem aż nazbyt ostrożnie. Nasłuchiwałem każdego skrzypnięcia i kulilem się jak przerażone zwierzę. U każdego normalnego człowieka w tym momencie włączyłby się instynkt ucieczki. Odwróciłby się na pięcie i sprintem spieprzał z tego

przeklętego miejsca, zatrzymując się zapewne dopiero w Afryce. Cóż, nikt nie powiedział, że do tej roboty biorą normalnych ludzi. Gdy stanąłem na betonowej posadzce, poczułem ulgę jakbym się pozbył tygodniowego zaparcia. Odetchnąłem ciężko, wziewając tony unoszącego się wszędzie kurzu.

Pomieszczenie było mniejsze niż przypuszczałem i znacznie skromniejsze w umeblowaniu niż pozostałe pokoje. Znajdował tu się stary piec, na tyle wielki, że można by w nim palić czarownice. Nawet parami. Naprzeciwko schodów stał na wpół zawalony regał. Pod nim znajdowała się nowoczesna rzeźba ułożona ze spróchniałych półek i rozbitych słoików wraz z ich spleśniałą zawartością. Kawałki szkła skrzyły się jak święteczne dekoracje. Kiszzone ogórki doszły do tak zaawansowanego stadium przegnicia, że zaczęły tworzyć jedność z betonową podłogą. W kącie stało kilka kartonowych pudeł ułożonych jedno na drugim. Część z nich była otwarta, ukazując szeroki wachlarz drobiazgów, jakiegoś żelastwa i innych niezbyt istotnych rzeczy. Najciekawszy wśród tego zbiorowiska był co najwyżej mikser na korbkę. Znudzony odwróciłem się aby wyjść, gdy wtem... niespodzianka. Częściowo schowana w niewielkim zagłębieniu pod schodami, stała wiekowa szafa pancerna. Była na tyle stara, że większość jej gabarytów aktualnie stanowiły plamy rdzy i odpadającej, czarnej farby. Jednak nie była tak interesująca, jak fragment podłogi, na którym stała. Głębokie bruzdy w skamieniałym brudzie i kurzu, świadczyły, że ktoś ją niedawno przesunął. Facet musiał być co najmniej postury King Konga, ponieważ żelastwo musiało ważyć z ćwierć tony. Obszedłem szafę

dookoła, uważnie jej się przyglądając. Nic, jeśli nie wspominać o niebotycznej ilości pajęczyn.

Zawiodłem się nieco. Oczekiwałem przełomu, wyjaśnienia zagadki, czy chociażby karteczki z napisem *Prima Aprilis*, a znalazłem tylko dwucentymetrowego pajęczka, który na mój widok spieprzył gdzieś w głąb szafy poprzez wyżartą rdzą dziurę. Włożyłem ręce do kieszeni spodni, trącąc czubkiem buta kupki rdzawego pyłu. Wyrwało mi się nawet mimowolne westchnięcie, zanim moja własna lewa dłoń palnęła mnie w czoło. Nie, nie zostałem opętany, nie był to też odruch świadczący o początkach choroby Parkinsona. Po prostu ciało zareagowało na głupotę umysłu, nim ten zdążył się choćby do niej przyznać. Przyklęknąłem i przeciągnąłem palcami po dziurze, w którą przed chwilą uciekł mój ośmionogi kolega. Wyczułem je. Wyrażne, głębokie bruzdy w brunatnej, chropowatej powierzchni.

Facet zaatakował rodzinę młotkiem.

Słychać było dziwne dźwięki z piwnicy.

Wszystko się zgadzało.

Próbował dostać się do tego, co jest w szafie. Nie miał pewnie klucza, lub zamek był na tyle zardzewiały, że nie dało się jej otworzyć. Zwariował niedługo po tym, jak wybił tę dziurę i uzbrojony w to, co miał aktualnie w ręce, wyszedł z piwnicy i zaczął mordować. Musiałem się dostać do środka.

Wróciłem do kartonowych pudeł i zacząłem je przerzucać jedno, po drugim. Mikser na korbkę raczej by mi się nie przydał, ale wśród kawałków złomu w jednym z kartonów dostrzegłem coś, co mogłoby mi pomóc. Wyciągnąłem z niego gruby, stalowy pręt, który kiedyś zapewne był fragmentem jakiegoś ogrodzenia. Wróciłem do szafy.

- Odsuń się, bo otwieram – powiedziałem, licząc na to, że mój znajomy pająk mnie usłyszy. Nie dziw się. Zapominasz, że jeszcze piętnaście minut wcześniej zasięgałem rady u demonicznego dachowca. Wetknąłem pręt do oporu w szparę, po czym spojrzałem w sufit. Wolałbym w niebo, jednak z braku lepszego obiektu modlitw, tyle musiało mi wystarczyć. Roztarłem ramiona szepcząc słowa wyryte niegdyś na zwalonych kamieniach filistyńskiej świątyni.

Głęboki wdech.

Wstrzymać oddech.

Szarpnąć.

Za pierwszym razem niewiele to dało. Nieco poszerzyłem otwór i tyle. Gdybym nie zostawił walizki... cóż, musiałem improwizować. W brudzie nakreśliłem palcem krąg tuż pod szafą, w miejscu, w którym stałem. Moja dłoń poruszała się automatycznie. Kreśliła znaki, które rozumiałem i znałem, choć nigdy nie widziałem ich na oczy. Poczułem jak każdy włos na mojej głowie i twarzy staje dęba. Natarłem dłonie pyłem z podłogi i ponownie zwróciłem oczy w miejsce, w którym, jeśli świat nie stanął na głowie, powinno być niebo.

Szarpnąłem ponownie.

Niewielki błysk.

Stare nity puściły.

Odłożyłem pręt.

Otwór był na tyle duży, że mogłem bez problemu włożyć tam rękę, co jak ostatni idiota uczyniłem. Nie pomyślałem oczywiście o tym, że mały pajaczek, który tam uciekł mógł mieć setkę swoich jadowitych przyjaciół albo, że dziadek mógł tam chować swoją kolekcję zardzewiałych żyletek. W tej chwili byłem opętany wręcz myślą o tym, że cokolwiek pchnęło

Burrensa do szaleństwa, mogło znajdować się właśnie w tej szafie. Namacałem gruby plik papierów, kilka listów i sieć pajęczyn. Sięgnąłem ręką głębiej, przytulając się twarzą do zimnej stali. Znalazłem. Wyciągnąłem rękę, a wraz z nią niewielki przedmiot zawinięty w lniany worek. Otworzyłem go. Zobaczyłem drewnianą figurkę niewiele większą od pięści i o wiele za ciężką jak na zrobioną z drewna. Szeroki, szczerbaty uśmiech potworka, który przypominał twarze z indiańskich totemów. Zdobienia z kolorowych piór okrywały jego plecy i pas. Siedział, a raczej kucał na czymś, co wyglądało na drugą, znacznie mniej zadowoloną z życia twarz. Zwykły, mały, zapewne złośliwy fetysz. Prezent od człowieka, któremu się stary Burrens naprzykrzył lub schowana na czarną godzinę broń przeciwko konkurencji.

O czymś zapomniałem.

Moja skleroza kiedyś będzie mnie kosztowała życie.

Najpierw poczułem silne uderzenie w plecy. Chwilę później ciepła ciecz spłynęła strumieniem po moich barkach. Dopiero po chwili pojawił się rozdzierający ból. Instynktownie przewróciłem się na plecy. Pan Burrens nie był postury King Konga.

Nie przesuwaj tej szafy sam.

W chwili, w której szaleństwo wdarło się do jego umysłu, Pan Burrens pracował w piwnicy ze swoim bratem. Teraz jego brat, jako marionetka w rękach fetysza, stał nade mną z rozbitym czaszką i pochwyconym z kuchni tasakiem w dłoni. Na jego ustach zastygł szeroki, spazmatyczny uśmiech, w drżącym grymasie na przemian pokazując i odsłaniając nieliczne zęby. Lewa, górna ćwiartka jego głowy niemal przestała istnieć, zapewne rozpylona gdzieś po kątach tej piwnicy. Nie

zauważyłem go. Przejęty znaleziskiem nie usłyszałem jak się za mną skrada.

Zamachnął się po raz drugi. Tym razem, jednak byłem szybszy. Osłoniłem się od ciosu metalowym prętem, który posłużył mi jako otwieracz do szafy. Usłyszałem metaliczny szczęk, po którym kopnąłem uśmiechniętego brata w miejsce, które powinno być dla mężczyzny najczulsze. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia, jednak pozwoliło mi zdobyć tyle czasu, by podnieść się na równe nogi. Wskoczyłem na spróchniałe schody, niewiele już myśląc o tym, jak bardzo skrzypią i ile kolonii korników właśnie je wcina. Biegłem jak oszalały, w jednej ręce ściskając fetysz, w drugiej pręt. Usłyszałem świst i tym razem ostrze zatrzymało się na schodku centymetr od mojej pięty. Podązał za mną. Gdy w końcu dotarłem na parter, on był już w połowie schodów. Stałem w otwartych drzwiach, wyrzuciłem figurkę przez próg i chwyciłem pręt oburącz. Zobaczyłem pozbawioną inteligencji, wyszczerzoną twarz. Wymierzyłem mu cios między oczy, jak szalony wielorybnik ciskający harpun w wynurzającego się morskiego potwora. Zajęczał, stracił równowagę i runął w dół, wymachując tasakiem jakby chciał jeszcze w locie poderżnąć mi gardło. Usłyszałem jak z łoskotem uderza w betonową podłogę. Wiedziałem, jednak, że nie powstrzyma go to na długo. Nie da się nikogo zabić po raz drugi. Zamknąłem drzwiczki, wkładając pręt za klamkę tak, by choć trochę utrudnić wesołkowi wyjście z piwnicy.

Złapałem figurkę i ruszyłem w stronę schodów. Nie mogłem się powstrzymać przed zajrzeniem jeszcze do kuchni. Poczułem lekką ulgę, gdy zobaczyłem dziewczynkę leżącą tak, jak ją zostawiłem. Śniącą sen wieczny, z sercem przebitym

mizerykordią. Usłyszałem kroki dochodzące z piwnicznych schodów. Musiałem się spieszyć zarówno fizycznie jak i umysłowo.

Cała ceremonia pogrzebowa przebiegła bez zakłóceń, więc fetysz nabral mocy dopiero, gdy Burrens wybił dziurę w szafie pancernej. Starszy rodu Burrensów leżał już dawno w ziemi, więc raczej nie wrócił z martwych...

Brat zaczął uderzać w zamknięte drzwi dłońmi. Chyba na chwilę zapomniał, że ma tasak...

Tym bardziej, że fetysz zdaje się nie działać na tych, którzy spoczywają w pokoju... tudzież w kuchni. Tak, czy inaczej nie rusza poświęconych zwłok...

Pierwsze uderzenie tasaka w drewniane drzwiczki. Ja zaś wpadłem jak poparzony do łazienki. Zamknąłem się w środku, licząc na to, że będę miał tu choćby odrobinę spokoju. Oczywiście się myliłem...

Fetysz musi więc działać niezależnie od tego, czy w pobliżu są zmarli, czy też nie. Musi mieć jednak jakiś schemat działania, nie posiada raczej własnej świadomości...

Klamka się poruszyła. Najpierw delikatnie, potem bardziej stanowczo. W końcu ktoś kilkakrotnie za nią szarpnął...

Musi więc działać indywidualnie dla każdej osoby. Druga twarz na figurce. Twarz, na której siedzi wyszczerzony bożek. To fetysz szaleństwa. Znajduje lęki. Zapewne sprawdzał mnie od początku, lub też od początku wiedział co może mnie wyprowadzić z równowagi. Być może zmarli byli jedynym sposobem by mnie zabić, skoro byłem tu sam...

Pierwsze ciosy tasaka wylądowały w okolicach klamki, pozostawiając na drzwiach głębokie bruzdy. Nie miałem czym

się bronić. Co miałem zrobić? Podpalić go jak tamtą małą? Chwila...

Dziewczynka wpadła w drgawki kiedy ją podpaliłem. Było tak dużo dymu. Fetysz zaczął działać dopiero, gdy w szafie ktoś wybił dziurę. Pióra na plecach bożka. To cholerstwo niesie się z powietrzem!

Zatkałem odpływ w zlewie workiem, w który była owinięta figurka. Zamek w drzwiach puścił pod naporem kolejnych ciosów i kopnięć. Brat Burrensa wpadł do środka, obdarzając toaletę, wannę, oraz mnie szerokim uśmiechem. Odkręciłem wodę, gdy ten rzucił się na mnie z tasakiem. Uchyliłem się. Ostrze trafiło w zlew odłupując spory płat emaliowej farby. Wrzuciłem figurkę do środka, pod rozbryzgujący się strumień wody w chwili, gdy Burrens szykował się do kolejnego ciosu. Ostrze musnęło mój bok, zostawiając mocno krwawiącą, choć płytką ranę. Nagle Burrens potknął się. Opadł na kolana jakby przez przypadek podciął sobie więzadła. Odskokczyłem od niego, o mało nie wypadając przez otwarte okno. Oparłem się o framugę i patrzyłem jak uśmiech schodzi z twarzy mojego oprawcy. Na przemian zamykał i szeroko otwierał oczy, kłapiąc przy tym zębami. Wyglądał jak wyrzucona na brzeg ryba, lub człowiek, który zaczął się dusić pestką w czasie kolacji. Pomimo tego, że tasak wypadł mu z ręki, on wciąż wymachiwał ręką tak, jakby jeszcze go trzymał. Po chwili upadł na twarz. Woda ze zlewu zaczęła się przelewać, kapiąc małymi wodospadami na brudne od krwi kafelki. Burrens znieruchomiał

Zasapany i obolały chwyciłem walizkę, po czym wrzuciłem ją z całą zawartością do wanny. Nie chciałem, aby zamokła, natomiast ironicznie wanna była w tym momencie

najbardziej suchym miejscem. Wziąłem z płaszcza paczkę papierosów i zapalniczkę. Po czym rozsiadłem się okrakiem pod oknem. Smutek przebił moje serce niczym gwóźdź, gdy spostrzegłem, że właśnie dobiłem ostatniego papierosa. Wyrzuciłem pustą paczkę przez okno, ponad głową przypatrującego mi się kota. Mogłem go zrzucić. Chciałem go zrzucić. Nie miałem jednak już siły na takie przyjemności.

Podłoga obok mnie zatrzęsa się i przysiągłbym, że to Burrens odżył i postanowił... właśnie nie wiem co. Zamienić się w młot pneumatyczny? Dopiero po drugim sygnale zauważyłem swój telefon leżący pod wanną. Musiał tam wpaść podczas mojej życiowej wyprawy do piwnicy.

Cegła przy uchu.

Powiedziałem *Halo*.

Zaciągnąłem się dymem, patrząc jak bledną mi palce dłoni.

- Kurwa szósty raz już do ciebie dzwonię! – rzucił błyskotliwie komendant, brzmiąc aż nazbyt trzeźwo. Wypił kilka kaw albo dostał telefon od sąsiadów, którzy zauważyli, że w domu martwych Burrensów ich martwa córka biega po kuchni fajcząc się jak choinka.

- Mi też miło cię słyszeć – odpowiedziałem, rozsmakowując się w gorzkim, duszącym obłoku.

- Co się tam dzieje? Znalazłeś coś? Ludzie dzwonią, że słyszeli jakieś krzyki dochodzące z domu, a mi kończą się wymówki!

- Wszystko jest już załatwione. Dom został oczyszczony – odpowiedziałem. W ostatnim zdaniu pozwoliłem sobie sparodiować piskliwy głosik medium, z filmu, który kiedyś

należał do moich ulubionych. Znaczy w czasach, w których horrory oglądałem tylko na ekranie.

- Dobrze się czujesz? Brzmisz jakoś niewyraźnie... - powiedział. Chyba znów miałem przyjemność rozmawiać z jego złym bratem bliźniakiem, albo przynajmniej raz przez komendanta przemówiły ludzkie uczucia.

- Czuję się wybitnie – skłamałem.

- Na pewno? – mruknął. Zastanowiłem się przez chwilę, podziwiając kolorowe iskierki, które zaczęły tańczyć mi przed oczami.

- Fajki mi się skończyły – rzuciłem mimowolnie. – Możesz też przywieźć jakiś plaster... albo dwieście...

- Kurwa... zaraz tam będę – powiedział po czym rozłączył się bez słowa pożegnania. Cham i prostak. Ja zaś usadowiłem się nieco wygodniej. Tak, aby nie naciągać za bardzo rozległej rany na łopatce. Matko, facet prawie odrąbał mi rękę. Przez myśl przeszło mi intrygujące pytanie.

- Co by się stało, gdyby mnie zabrakło, Is? – rzuciłem do siedzącego na parapecie dachowca. - Gdyby nagle na moim stanowisku zrobiłby się wakat?

- Musielibyśmy zrobić kolejny *nabór*, panie D... - odpowiedział kot wprost do moich myśli.

Chcesz więcej?

Zeskakuj kod

Wejdź na stronę autora

Pobierz darmowe opowiadania i sprawdź nowości!



<https://www.facebook.com/autorTomaszBartosiewicz>

[Kup książkę](#)